Nr. 13. Kraków, 1 Lipca 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 zlr. — ct., kwart. 2 zlr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Floryańskiej L. 32, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma.—Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

Od Wydawnictwa.

Dla dogodności Sz. Prenumeratorów, postanowiliśmy od półrocza wcielić dotychczasowy dodatek polityczno-ekonomiczny do numeru „Myśli“, który w ten sposób tworzy 1½ arkuszową całość, obok arkuszy powieściowych.

Upraszamy naszych Sz. Prenumeratorów, półrocznych i kwartalnych, o wczesne odnowienie przedpłaty, dla uniknięcia przerwy w otrzymywaniu „Myśli“.

Polecamy pismo nasze Sz. Zarządom zdrojowisk, zwracając ich uwagę, że „Myśl“, jako jedyny organ literacko-społeczny w Polsce, nie podlegający cenzurze prewencyjnej, stanowi, zwłaszcza dla osób z Królestwa, najpożądańszą lekturę.

FAŁSZYWY KULT.

Sarkanie na naukę lub niedocenianie jej znaczenia jest rzeczą ciemnoty i słabizny umysłowej. Śpiewają o tem wróble na dachach od tak dawna, od jak dawna istnieją usiłowania w kierunku umiejętnego badania zjawisk.

Jest to zupełnie słuszne.... Ale również słuszne będzie, aczkolwiek niejednemu wydać się może dziwnem, jeżeli powiemy, że stawianie nauki na ołtarzu, robienie z niej fetysza, któremu się oddaje cześć bezkrytyczną. dowodzi również względnej ciemnoty i słabości umysłu.

Pomińmy tu wszelkiego rodzaju „rzemieślników naukowych“, którzy ze swego „fachu“ chcą zrobić jakąś religię, wyższą po nad wszelkie inne, pobudką bowiem w tym wypadku jest najczęściej chęć występowania w roli kapłana, która bezwątpienia jest bardzo korzystna. Chodzi mi o świat profanów...

Charakterystyczne są tu zjawiska dwojakiego rodzaju, świadczące o czci dla nauki w imię zasady: bić czołem przed czemś i nie starać się poznać, co jest naszej czci przedmiotem. Chcę zwrócić uwagę po pierwsze na śmieszne bałwochwalstwo względem wszystkiego, co ma przyklejoną etykietę naukową, po drugie zaś na przypisywanie nauce własności, których ona dotąd nie posiada.

Niczem może dla szerszych kół nie jest tak łatwo zostać, jak „znakomitym uczonym“, „zasłużonym badaczem“ i t. p. Dość ogłosić trochę bibuły z etykietą naukową lub wygłosić jakąś prelekcyę, żeby czekać niedługo na owe szczudła, któremi z taką ochotą ludzi się obdarza. Dziennikarze, którzy na ogół bardzo mało stosunków z nauką utrzymują (u nas, zdaje się, mniej niż gdzieindziej) nie starają się i nie umieją robić wyboru w tem, co do nich ze świata naukowego lub „pseudo naukowego“ przychodzi i wieńczą każdego, kto tylko pod sztandarem nauki przed nimi staje. Ztąd zdarza się u nas spotkać „znakomitych uczonych“, którzy mają jedną tylko zasługę, że jeżeli wyrządzają jaką krzywdę nauce, to w każdym razie niewielką. Jeżeli ktoś zbiera marki pocztowe, fajki i t. p., to jest, naturalnie, maniakiem, ale jeżeli z tem samem zamiłowaniem i tą samą myślą przewodnią weźmie się do szpilkowania chrząszczów, albo zbierania monet, to już wtedy — czy zechce, czy nie — „zasłużonym badaczem“ musi zostać.

Są też ludzie, którzy korzystają z tej bałwochwalczej ciemnoty i tanim kosztem polują na popularność: spotkać można u nas stare „powagi naukowe“, które nigdy nic dla nauki nie zrobiły, jak również młodych „badaczów“, którzy. widząc, że starym z „blagą“ dobrze się dzieje, kroczą ich śladem, ufni w powodzenie.

Zbytniem poleganiem na nauce i przesadzoną wiarą w jej potęgę odznacza się znów młodsze pokolenie inteligencyi, które magnetyzowane przez długi czas wyrazami „nauka“, „naukowy“ i t. p., niema odwagi do badania treści tych wyrazów, dla przekonania się, czy rzeczywiście owa „nauka“ jest takim wielkim i nieograniczonym autorytetem, za jaki się ją zwykle podaje.

Badacze początku kultów powiadają, iż człowieka pierwotnego charakteryzuje skłonność do oddawania boskiej czci przedmiotom, których własności są mu najbardziej obce.

Kiedy hiszpanie zawitali do Ameryki, przywożąc ze sobą konie i broń palną, krajowcom podobno najwięcej zaimponowały konie; koniom też przypisali oni stworzenie broni, ogniem ziejącej. Jestto zupełnie zrozumiałe: w hiszpanach widzieli oni bądź co bądź ludzi, t. j. istoty, których własności na ogół nie były im obce, kiedy tymczasem konie, nie znane im przedtem i nie przypominające bardzo nic znanego, zupełnie się nadawały, ażeby im wszystkie własności cudowne przypisać.

To się też mniej więcej zdarza dzisiaj z nauką. Często bardzo zamiast zaznajomić się bliżej z istotą jej wogóle, zamiast starać się poznać zakres jej wpływów, zamiast wejść z nią w poufalszy stosunek, stajemy od niej zdala albo padamy plackiem, ogłaszając ją za wszechmocne bóstwo. „Nauka mówi, że...“, „nauka tę kwestyę rozwiązała tak i tak“... Frazesy te wypowiada się z tak ślepą wiarą, że kto nie uwierzy, tego bez apelacyi się wyklina. Tymczasem nauka ani myślała „mówić, że...“, ani usiłowała „kwestyi rozwiązywać“...

Szczególnie w tak zwanych naukach społecznych, w których trudniej, niż w jakichkolwiek innych, jest odróżnić istotną zdobycz naukową od osobistego czyjegoś poglądu, popełniamy dużo błędów tego rodzaju. Ażeby błędów takich uniknąć, należałoby bardzo dużo pracować i to pracować, nie stawiając sobie odrazu dogmatycznych punktów wyjścia, nie zaczynając pracy od owego nieszczęsnego „nauka mówi, że...“ Przekonalibyśmy się wtedy, że to, co na razie mogłoby się wydać niezaprzeczalną zdobyczą nauki, jest tylko jednem ze stanowisk podmiotowych, mających mniej lub więcej szans do ostania się przed umiejętną krytyką. Dowiedzielibyśmy się, że tych kwestyj, które nas najbardziej palą, nauka nie rozwiązała i długo jeszcze będzie je uważała za nierozwiązane, że lepiej w nich często oprzeć się na swoim średnim rozumie, niż zdać się na cudzy, wysoki.

Ale cóż?... umysł, przyzwyczajony do polegania na opiece w tym wypadku urojonej „nauki“, boi się stanąć o własnych siłach, za słabe ma skrzydła i szuka oparcia na tajemniczej istocie, „nauce“, przyjmując bez wszelkiego wysiłku za prawdę wszystko, co pod jej imieniem przychodzi. Ztąd rozwija się nowa forma kultu, „cześć dla nauki“...

Kult to jednak błędny ze względu na sam przedmiot czci. Ze wszystkich bowiem czczonych „istot“ jedyna może nauka szczerze mówi: „ten mię najlepiej czci, kto mię najbardziej stara się poznać“...

GŁOS WIELU.

Dla kogo my żyjemy? Te żałoby,
Cierpienia nasze i smutki dla kogo?
Dla kogo głuche, zimne, ciasne groby,
Zionące ku nam ohydą i trwogą?

Czy może ciebie słońce na błękicie,
Czy was, wy gwiazdy z oczyma złotemi,
Cieszy to nędzne nieskończenie życie,
To złe — bezbrzeżne władnące na ziemi?

Bo ja nie mogę uwierzyć, by ona
Święta moc jakaś spoglądała z góry
Ślepa i głucha i nieporuszona
Na istot przez się stworzonych tortury.

I żadne słowo nic mi nie tłomaczy,
I nie pojmuję nic na drodze mylnej
Prócz rezygnacyi martwej, lub rozpaczy
Tem okropniejszej, że do dna bezsilnej!

Kazimierz Tetmajer.

O SŁOWACKIM.

(Uwagi nad „Lillą Weneda“)

napisał Dr. Henryk Monat.

Upadek więc Wenedów dostatecznie został uzasadniony przez poetę. Jakże myśl swą wcielił w kształty dramatyczne? Jakież postacie stworzył na przeprowadzenie swej idei głównej? Fabuła tragedyi jest zadziwiającej prostoty, a strasznej zgrozy zarazem. Wenedzi pobici przez Lechitów, zbierają się na wezwanie wróżki Róży Wenedy do ostatniej walki. Król ich Derwid i jego dwaj synowie: Lelum i Polelum są w niewoli. Harfa złota, na której rozbrzmieć ma pieśń zwycięstwa, dostała się razem z królem Derwidem w ręce Lechitów. Lilla Weneda, córka Derwida i siostra Róży, idzie zbawić ojca, wprzód jednak prosi o pomoc św. Gwalberta, który przyszedł w te dzikie strony nawracać lud do chrześciaństwa. Razem tedy z świętobliwym starcem zjawia się przed królową Lechitów: Gwinoną, aby prosić o wydanie ojca i braci. Gwinona tymczasem od męża swego Lecha otrzymawszy Derwida, aby z nim postąpiła, jak uzna za stosowne, kazała przyprowadzić starca i żąda, aby grał jej na harfie i zabawiał ją czarowaniem duchów. Derwid, obrażony w godności swej króla i wieszcza, odpowiada w sposób namiętny i przywodzi Gwinonę do wściekłości. Królowa rozkazuje mu oczy wyłupić. Lilla przychodzi za późno, a gdy królowa odgraża się, że ojca jej zabić każe, zrozpaczona dziewczyna odpowiada, że choćby Gwinona trzy razy wymyśliła śmierć, trzy razy wymyśli ją napróżno. Gwinona podchwytuje te słowa i zaczyna się walka o starca. Królowa lechicka każe Derwida zawiesić za siwe włosy na drzewie i umorzyć głodem w tej pozycyi. Prośby Lilli u Lecha nie odnoszą skutku, dla nakarmienia więc zemsty wrogów poddaje im myśl, aby jeden z synów więzionych o sto kroków od drzewa cisnął toporem na ojca i przeciąwszy mu włos, wybawił go od śmierci niechybnej. Myśl tę przyjmują. Polelum wybawia tak ojca pierwszy raz od śmierci. Po raz drugi ocala Derwida Lilla Weneda grą na harfie, która wywabia węże z wieży, dokąd na żer im niosą starca. Po raz trzeci Lilla Weneda z wiankiem liliowym wchodzi do więzienia, w którem od dwóch dni morzą głodem jej ojca i karmi go kwiatami.

To potrójne ocalenie ojca spotkało się z całym szeregiem zarzutów. Przeciw pomysłowi rzucenia toporem na głowę ojca odzywała się krytyka z bardzo poważnemi uwagami. Pomysł to już wyzyskany często w poezyi — nie nowy! Nadto środek ten ocalenia ojca poddała sama Lilla Weneda, a nie wrogowie. Odbiera więc to, a przynajmniej osłabia całą zgrozę pomysłu.

Ale poecie właśnie chodziło o podniesienie tej wielkiej prawdy, że z wszelką niewolą wiąże się niebezpieczeństwo upodlenia i nie słabą stroną pomysłu, ale jego najświetniejszą jest to, że Lilla Weneda go sama poddaje. Poeta dwa razy kładzie nacisk na tę niedolę niewolników.

Polelum odzywa się:

O do czegóż ty przyprowadzasz Boże
Człeka, co stracił ojczyznę! O patrzcie!
Ażeby teraz wyratować brata,
Muszę być ojca mego męczennikiem
Siostra mię własna o zabójstwo prosi!

A chór wyraźniej jeszcze myśl poety oddaje:

Cóż będzie, jeśli topór w czaszce jęknie?
Topór, co w drżącej ręce syna miga?
O synu! serce twe z boleści pęknie.
O córko! Ojca twego krew cię splami!
O biada wam, o biada niewolnicy!
Miesza się wasza krew z waszemi łzami!

Sam znowu pomysł rzucenia toporu na głowę ojca, choć w poezyi wyzyskany wielokrotnie, poeta odtworzył na nowo i z niezrównaną siłą. Słowacki z „Tella“ Szyllera bardzo mało przejął do swojej sceny, niektóre zaś podobieństwa nie reminiscencyi przypisać należy, ale tożsamości sytuacyi, która u obu poetów pewne wspólne myśli i obrazy wzbudzić musiała. Podanie o strąceniu przez ojca jabłka z głowy syna strzałą wymierzoną z łuku, powtarza się u wszystkich narodów Północy w pieśniach i sagach, w kronikach i baśniach ludowych. W Danii Harald Blauzahn (Sinoząb) łucznika Toko zmusił do strzału w głowę syna (935—85 p. Chr.). Toko, jak późniejszy Tell, wyjmuje dwie strzały z kołczana, aby w razie zabicia swego dziecka pomścić jego śmierć na tyranie. W Norwegii król Harald w XI wieku, zwyciężony w zapasach przez łucznika Heminga, mści się na nim rozkazem wypuszczenia strzały z łuku do orzecha laskowego na głowie syna; w Islandyi Eigil strzela z nakazu króla Nidunga; w Holsztyńskiem łucznik znowu nosi nazwisko Heming; w Anglii kłusownik William of Cloudesby schwytany i oddany pod sąd, za karę musi jabłko zestrzelić z głowy swojego syna i t. d.*).

Od tych północnych narodów przywędrowało dopiero w piętnastym wieku podanie do Szwajcaryi. Mógł więc poeta polski korzystać zeń, kiedy nie jest wyłącznie szwajcarskiem, tak samo, jak Szyller w „Tellu“. A dokąd zawiodłaby nas taka krytyka, ograniczająca poetę w jego pomysłach? Co będzie z Ifigenią Rasyna i Goethego? Co poczniemy z dramatami historycznemi Szekspira, które często są tylko przeróbkami starszych bladych kompozycyj, co z jego utworami, zaczerpniętemi z włoskich nowelistów XIV w.?

Pomysł oryginalny jest — co prawda — ogromną zaletą kompozycyi. Ale pomysłu tego oryginalnego żądamy raczej w osnowie całości, niż w pojedyńczych szczegółach, bo nie masz prawie poematu, któryby szczegółem jakimś nie przypominał czegoś. Nikt pewnie Szekspirowi nie zarzuci ubóstwa w inwencyi treści, kiedy geniusz jego do najwyższych szczytów sztuki podnosił lada błahostkę romantyczną włoskiego fabulisty.

*) O wszystkich tych podaniach patrz Alfonsa Hubera: „Tell-Sage“ w „Zeitschrift für Allgemeine Geschichte. Stuttgart, II Bd. 1885“.

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

9) CZĘŚĆ PIERWSZA.

Nareszcie ruszono dalej i Maurycy, którego spojrzenie spotkało w tej chwili twarz Jana, dojrzał, że oczy jego pełne były grubych, gorzkich łez. Zdziwiło go to i wzruszyło zarazem, poczucie nieszczęścia w nim się wzmogło na myśl, że i takie półzwierzęta czują tę obelgę, na którą nie zasłużyły, a którą znieść i strawić muszą!... Wszystko łamało się i zapadało w jego biednej głowie obolałej i nigdy później nie mógł sobie przypomnieć, jak się ten etap zakończył.

Siódmy korpus zużył calutki dzień na przebycie dwóch kilometrów, które oddzielały Dannemarie od Belfortu i znowu noc zapadała i było bardzo późno, gdy wojska mogły rozłożyć biwaki swoje pod murami twierdzy, w tem samem miejscu, z którego wyszły cztery dni temu z tą myślą gorącą, że wroga bić idą. Pomimo spóźnionej godziny i strasznego znużenia, żołnierze zapragnęli koniecznie zapalić ognie kuchenne i raz nareszcie gorącej nagotować strawy. Od chwili wyjścia stąd po raz pierwszy coś gorącego połknąć będą mogli. I dokoła ogni, w początku tej świeżej nocy, nosy zagłębiły się w misach, szmery zadowolenia słyszeć się dały, gdy nagle jakaś wieść, która obiegać zaczęła, zdumiła, ogłupiła, oszołomiła obóz cały!... Dwa nowe telegramy przyszły do obozu jeden po drugim. Prusacy nie przeszli wcale Renu pod Markolsheim i niema ani jednego żołnierza pruskiego w Hunningen.

Przejście Renu pod Markolsheim, ten most na pontonach zestawiony przy wielkich ogniskach światła elektrycznego, wszystkie te opowieści, które tyle strachu napędziły, były poprostu zmorą urojoną, halucynacyą niewytłomaczoną pana prefekta z Schelestadt. Co zaś do tego korpusu armii, który zagrażał Hunningen, owego sławnego korpusu Czarnego Lasu, przed którym drżała Alzacya, składał się on cały z jakiegoś oddziału wirtemberczyków: dwa bataliony i jeden szwadron. Zręczna taktyka, marsze i kontrmarsze, ukazywanie się i znikanie nagłe tego oddziału sprawiło, że uwierzono w obecność trzydziestu lub czterdziestu tysięcy ludzi. I pomyśleć tu teraz, że tego ranka o mało co nie wysadzono w powietrze wiaduktu w Dannenmarie, ze strachu przed tym korpusem!... Dwadzieścia mil francuskich bogatej okolicy zostało zniszczonych i stratowanych bez żadnej potrzeby, przez najgłupszą z panik; i żołnierze, na myśl o tem, co widzieć musieli w ciągu tej okropnej doby — mieszkańcy uciekający w szalonym strachu, pędzący w góry bydło swoje, te fale całe wozów, pełnych mebli i sprzętów, płynące do miasta pomiędzy stadami dzieci i kobiet, gniewem się unosili, przeklinali i wymyślali ironicznym śmiechem, akcentując swoje żale.

A!... nie!... to wcale nie zabawne!... — jąkał Loubet, mając pełną gębę i łyżką wstrząsając z gniewem w powietrzu. — Jakto! oni nam o nieprzyjacielu gadają, pędzą nas z końca świata, a tu niema nikogo!... Dwanaście mil naprzód, dwadzieścia mil w tył i ani psa, ani kota!... Wszystko na darmo!... Dla tej miłej przyjemności, żeby sobie stchórzyć trochę!...

Chouteau, który z hałasem wycierał swoją miskę, zaczął wymyślać na generałów, nie wymieniając nazwisk ani tytułów.

— He!... to świnie!... To szelmy, idyoty dopiero!... To nas dopiero obdarowano pięknemi gagatkami!... Jeśli się tak pomiętosili wtedy, kiedy nikogo nie było, toby dopiero

Nie można i Słowackiemu zarzucić upoetyzowania pomysłu sagi skandynawskiej, dopóki nie udowodni się poecie, że dał się innemu wyprzedzić, który tę sagę świetniej przedstawił. Szyller szeroko rozwiódł swoją scenę, w której Tell wymierza strzałę w głowę dziecka.

Najprzód Gessler mówi z Tellem i nie chce się wzruszyć jego prośbami, aby go zwolnił od okrutnego rozkazu, potem proszą Gesslera: Rudolf Harras, Berta von Bruneck, Walter Fürst, Stauffacher wszyscy bez skutku, wreszcie podczas wzrastającego oburzenia obecnych spiskowców Melchthala i Staffachera — Tell sam raz jeszczepr osi choćby o śmierć, byleby syna ocalił. Szyller wprowadzeniem większej liczby osób scenę ożywił i uczynił wielce dramatyczną, ale osłabił zarazem jej zgrozę. Tella wszyscy wstrzymać chcieliby od strzału, tylko nieletni synek Walter z odwagą dziecięctwa czy nieświadomości i z dumą trochę nad wiek dojrzałą, nakłania ojca do zrobienia niebezpiecznej próby.

U Słowackiego dwie tylko są grupy osób: z jednej strony: Gwinona i Lech, chcący przypatrzeć się dziwowi, z drugiej Lilla Weneda, Lelum i Polelum. Poeta polski całkiem inne podjął zadanie. Chodziło mu o przedstawienie nie tak srogości Lecha i Gwinony, bo od nich przecież pomysł nie pochodził, jak duchowej walki w Polelum i gorących a tak smutnych namów Lilli i Lelum, aby brata skłonić do ciśnięcia toporu. W obu scenach, zgodnie z podaniem, domagają się od bohatera, aby o sto kroków od celu wymierzył. Drobne też podobieństwa w kilku ustępach, wynikające z treści i sytuacyi (bez żadnego zresztą znaczenia) znajdujemy w dyalogu:

Gessler zagadnął Tella:

> Tellu, ty dzierżysz tak swój po mistrzowsku
> Mówią, że mógłbyś iść w zapasy z każdym
> Łucznikiem!

Lech zaś do Polelum odzywa sie:

> Jest wieść, że cel nie rzucacie toporem.

Kiedy Tell wzbrania się, Gessler grozi mu:

> Wymierzysz, albo umrzesz wraz z swym [synem.

Podobnie odgraża się Lech:

> Zgnijesz w kajdanach, jeśli nie posłuchasz!

Gessler ironicznie zachęca Tella do strzału:

> Wszak chełpisz się pewnością swego wzroku,
> Więc pokaż teraz, strzelcze, swoją sztukę.
> . . . . ten mi mistrzem,
> Co wszędzie pewnym będzie swo- [jej sztuki,
> Któremu serce nie zaważy w ręce,
> Ni w oku!

A Lelum, wlewający otuchę swemu bratu mówi:

> Pomyśl, ty dobrze władasz tem żelazem,
> Gdyby nie serce w tobie, tobyś trafił,
> Więc zatruj serce na chwilę.

Po szczęśliwie odbytej próbie u Szyllera Leuthold mówi:

> O to strzał był! O tem
> Mówić się będzie jeszcze w poźnych wiekach.

a Rudolf Harras:

> Mówić się będzie o łuczniku Tellu,
> Dopóki góry w swych posadach będą
> Stały.

Polelum zaś przed odejściem na miejsce, skąd ma rzucić topór, mówi:

> O tem ciśnięciu straszliwem Weneda
> Będzie wam śnić się!

a potem w scenie pierwszej aktu IIIgo Lech wykrzykuje:

> Ach! czyn Weneda taki musi przeżyć
> Nasze mogiły.

Oto najodleglejsze podobieństwa, jakie można już nie wprost odczytywać, ale raczej wykombinować między Szyllera „Tellem“ a „Lillą Wenedą“ Słowackiego.

A choćbyśmy i przyznali, że przytoczone ustępy są rzeczywiście reminiscencyami z „Szyllera“, to z nich z pewnością nie wyniknie, że Słowacki zapożyczył się u poety niemieckiego w podjęciu czy też przeprowadzeniu pomysłu ciskania toporem na głowę ojca. (C. d. n.).

WOLNE MYŚLI.

(FEILETON).

My i oni.

Baron Hirsch ofiarował 7 tysięcy funtów szterlingów, wygranych na totalizatorze, szpitalom londyńskim; książę Lobkowitz pokrył niedobór teatru czeskiego, który dawał przedstawienia w Wiedniu; hrabia Esterhazy przeznaczył 40 tysięcy reńskich na wystawienie tamże „Tragedji ludzkości“ Węgra Madach'a — sportsmeni galicyjscy przeznaczyli 25 tysięcy reńskich na poprawę toru wyścigowego w Krakowie i postanowili podwoić nagrody — oto wiadomości, jakie w ostatnich czasach do uszu naszych dobiegły. Dodajmy do tego jeszcze fakt, iż bracia Reszkowie, Polacy, będą śpiewali w Wiedniu utwór polski i po polsku!... „Co za szlachetność“!... Doszliśmy już, raczej spadliśmy już do tego, że gdy ktoś z naszych zdecyduje się nie zrobić tego, za co, będąc Czechem czy Turkiem, dostałby kijem, dziwimy się jego — szlachetności!...

Nie usłyszy tedy Wiedeń naszych oper (tylko parę fragmentów), nie usłyszy koncertów polskich kompozytorów, nie będzie widział komedyi... A! przepraszam — komedyę już widzi, i to tę komedyę w najnowszym stylu, bardzo smutną, a widzi ją nie tylko Wiedeń, ale cały świat cywilizowany. Aktorami w tej komedyi są ci panowie, którzy mieli teraz ciężkie zagadnienie do rozwiązania: czy ważniejszą jest sztuka polska, czy ważniejsze są wyścigi krakowskie? Szala przechyliła się na stronę drugą... Aktorem też jest tu społeczeństwo, które losy sztuki polskiej powierza nie ludziom, sztukę tę prawdziwie czczącym, dumnym z niej i o sła-

---

zmykali, nogi za pas zatknąwszy, gdyby się naprawdę znaleźli w obec istotnej armii...

Dorzucono nową naręcz drzewa do ognia dla rozradowania oczu jasnym, do góry strzelającym płomieniem i Lapoulle, który sobie właśnie grzał nogi przy ognisku, wybuchnął głośnym i idyotycznym śmiechem, nie wiedząc nawet sam z czego, gdy Jan, który dotychczas starał się nie słyszeć, pozwolił sobie powiedzieć spokojnie, po ojcowsku.

— Cicho oto lepiej bądźcie!... Gdyby was kto usłyszał, mogłoby się to źle skończyć!...

On sam w swym prostym zdrowym rozsądku był oburzony głupotą wodzów... Ale cóż robić, szanować trzeba ich stopnie i szlify, gdy więc Chouteau dalej jeszcze coś pod nosem mruczał, przerwał mu już ostrzej.

— Cicho tam! Oto właśnie idzie porucznik, jeśli macie co do powiedzenia, zwróćcie się do niego!...

Maurycy, siedząc cicho na boku, spuścił głowę. Ach!... tak istotnie... to już wszystko się kończy!... Zaledwie rozpoczęto... i już koniec.. Ta niekarność, to rozprzężenie, ten bunt ludzi po pierwszem niepowodzeniu czyniły z armii od razu bandę bez spójni ze sobą, zdemoralizowaną, gotową do wszystkich katastrof i przewrotów. Tu, pod Belfortem, nie widzieli ani jednego prusaka i... pobici zostali!..

Dnie, które nastąpiły, w jednostajności swej były podobne do siebie, całe drżące z wyczekiwania i niepokoju, całe dyszące przeczuciem nieszczęścia i zwątpieniem. Dla zajęcia żołnierzy, generał Donay zapędzał ich do robót około fortów twierdzy, wiele poprawy i wzmocnienia potrzebujących. Przewracano ziemię z wściekłością, skały krajano jak masło. A wieści jak niema, tak niema!... Co się dzieje z armią Mac Mahona? Co się dzieje pod Metz!?... Pogłoski najdziwaczniejsze, a kilka dzienników paryskich, jakie nadeszły, sprzecznością podawanych wieści dopełniały miary ciemności, trwogi pełnych, w jakich się umysły znajdowały. Dwa razy generał pisał, żądał rozkazów i nawet odpowiedzi nie otrzymał. Jednakże 12 sierpnia nakoniec korpus 7-y dokompletował się przybyciem trzeciej dywizyi, wracającej z Włoch, zawsze przecież były tu tylko dwie dywizye, gdyż pierwsza pobita pod Fröschwiller, porwana gdzieś została prądem odwrotu, czy rozsypki i dotychczas nie wiedziano nawet, gdzie ją ten prąd uniósł i rzucił. Nareczcie po takim tygodniu zupełnego opuszczenia, całkowitego odcięcia od reszty Francyi, telegram przyniósł rozkaz wymarszu. Była to radość wielka, wojsko wolało wszystko inne, byleby nie to życie zaklęte, jakie prowadzono. I podczas przygotowań zaczęły się znowu różne domysły, nikt nie wiedział, gdzie mianowicie iść miano, jedni mówili, że korpus idzie na obronę Strassburga, gdy tymczasem inni przypuszczali nawet zuchwałą wycieczkę aż do Czarnego Lasu dla odcięcia odwrotu Prusakom.

Nazajutrz też rano pułk 106-ty wyszedł jeden z pierwszych, załadowany w wagony bydlęce. Wagon, w którym się mieścił pluton Jana, był jakoś zapchany tak, że Loubet twierdził, że niema nawet miejsca, gdzieby kichnąć można. Ponieważ rozdawanie żywności odbyło się znowu w największym nieporządku i żołnierze dostali w wódce to, co mieli dostać w chlebie i mięsie, wszyscy zatem byli pijani, pijaństwem gwałtownem i krzykliwem, które wybuchało w śpiewach bezecnych.

Pociąg się toczył, w wagonach już nie było widać nic więcej, jak tylko dym fajek, gęstą mgłę tworzący. Panowało tu straszne gorąco, zaduch okropny, wyziewy z ciał ludzkich, jak śledzie w beczce upakowanych. Z wozów tych czarnych, pędzących jak szalone, wybiegały przekleństwa i krzyki, które przedzierały się nawet przez tentent pociągu i rozlegały się wdal wśród pustych i smu-

wę jej, a przez nią o chwałę narodu dbałym, ale takim, dla większości których częstokroć celem życia jest: koń, strój, dyamenty, zielony stolik i t. d.

Naród, któremu odmawiają prawa do życia, zamiast chwycić się oburącz świetnej sposobności przekonania świata, że żyje, że ma prawo do życia, bo mu, według słów poety, „pochodnie przodem świecą“, daje zaledwie słaby znak istnienia, gdy inne narody, pełną oddychające piersią, manifestują się tam jaskrawo... Naród ten jest bardzo ubogi — ale jego „czoło“, ale owi klubowcy i sportsmeni, ale nasi Lobkowitze, nasi Esterhazy'owie!... Gdzież są?!...

Daje nam to wszelkie prawo nietylko przypuszczać, ale wierzyć, że gdyby ten ubogi naród zawołał dziś, jak niegdyś: „zginiem lub zwyciężym“! — „czoło“ paliłoby i dziś, jak niegdyś, w stolicach cygara — i zasługiwałoby i dziś na to, na co zasługiwało niegdyś...

Chwyciwszy w swoje ręce sprawę sztuki polskiej na międzynarodowej wystawie w Wiedniu, dali nam nasi panowie taki dowód lekceważenia i jakby umyślnego niedbalstwa, że czasby już był, abyśmy się raz wreszcie otrząśli z tej manji, że bez wielkich nazwisk i „firm“ nic zrobić się u nas nieda. Czasby już był, aby naród poczuł wreszcie swoją własną godność i lepszych wybierał sobie reprezentantów.

NA POPASIE.

(Obrazek).

— Straszne mi rzeczy prawicie, babulo. To ów głód tak zmógł was wtedy? — Szynkarzu, dajcie piwa nam więcej! Gorzałki chcesz, babko! niech będzie i gorzałka. W ręce wasze!... Więc jak to tam było, z tem dzieckiem? Ej, może nie pamiętacie trochę, szmat to czasu ubiegło; nie może to być, abyście sami...

— Nie może? O, panie złoty, wszystko być może, gdy nadejdzie taki czas, że człowiek — przestaje być człowiekiem... Nie zapomniałam! gdzie tam, jak dziś na to patrzę...

— Zabiłam ją — ja to ci mówię, możesz mnie wierzyć. I nie okuto mnie w kajdany i nie zamknięto mnie w więzieniu, i Bóg — ten sprawiedliwy — nie ukarał mnie! żyję, jak żyłam... tylko ta twarz jej staje często przedemną — Eh, to nie! i na to lekarstwo znajdzie... Otóż, prawda to, zabiłam ją.

No, czegóż pan tak oczy otwierasz? Albo to długo? Ot temi rękami ścisnęłam jej szyjkę; taka cieniutka była, zaledwo chrupła... No, dolejże, jeśli łaska, jużem wypiła!

Głupstwo, powiadam! jedna chwila... I! Bóg przebaczył; wszak żyję jeszcze... ja, i dzieci moje. I wtedy nawet uratowałam się, gdy ludzie dokoła jak muchy marli.

Widziałeś pan moje dzieci? Julka, taka tęga dziewucha... jej życie zawdzięcza? kto to powiedział?... To ja ja tamtą zabiłam... Dzieci, robaczki moje, takie to wtedy maleństwa były, ani wiedziały, o co idzie. Ta moja Julka to się wtedy w pieluchach plątała; a jakie to było chudziutkie, a czarne, a sine — powiadam ci, szkielecik skórką szczerniałą pokryty; oczka tylko wytrzeszczała na mnie.

Dziw, skąd się to u takiego pędraka bierze takie spojrzenie, co to aż we wnętrzu człowieka wierci. Chociażem i nie patrzała już na nią, wciąż te oczęta widziałam za sobą, takie żałośliwe, a takie strwożone jakby koniec swój czuły. Gdzie się nie obrócę, to mi się wydaje, że ta dziecinka moja, to źdźbełko nędzne, patrzy tak na mnie i litości woła. Powiadam panu, ona mi tem serce wyjadła, ona mię na to szaleństwo rzuciła.

Co? czy powiedziałam, że ona? Panie, ja kłamię, jak pies kłamię... gdzieby zaś ona! ten robaczek, ta gwiazdka...

No, jeszcze trochę dolej, mój panku; czy mi też żałować będziesz?

Widziałeś pan tę moją Julkę? Gładka dziewucha; dziękować Bogu, udała mi się, jak żadna. Pustota jej się trzyma, zawsze, gdzie się nie pojawi, tam śmiech i wesele; a jak piosnkę zanuci, jak oczkiem błyśnie, a ząbkami zaświeci — to nie ma chłopaka, coby za nią do piekła nie wskoczył. I tamte starsze, chwalić Boga, nie źle mi porosły: Mateuszowa już swoich dzieciaków ma kupę, Franek też gniazdem własnem żyje, i Mecia nic sobie. Ale ta, najmłodsza, wszystkich ich przeszła — i ani to pamięta, co się wtedy nacierpiałam za nią. Czy za nią tylko!

Toż mi wszystkie jak głodne pisklęta dzióbki otwierały: obym tylko stanęła w progu, wszystkie w głos jeden: matulu, jeść! A bójcie się Boga, dzieciaki, czy w kawałki ciało me rozerwę, aby was nakarmić? Nierazem z chałupy ich wyganiała: a idźcie, szukajcie! może wam kukułka jaka jeść przyniesie, bo ja, wasza matka ,nie mam nic! A gdy tak mówiłam, patrzały się na mnie i milkły od razu i za piec wszystkie się cisnęły. Tylko to maleństwo w kołysce płakało i gdzie się nie obrócę, oczkami za mną wiodło..

Franek — ten był sprytniejszy — pomagał sobie jak mógł. Ginął nieraz całemi dniami całemi, a gdy wróci nad wieczór, to jeść już nie prosi; dyabeł go wie, czem on żył. Czasem przychodził zbity, we krwi, z sińcami; czy ludzie go tak zbili, czy sam się skaleczył — nigdy mi nic nie mówił, ani wtedy ani potem. A raz...

Ej, słuchasz, panie? No, to mi dolej! — Raz wybiegam przed chatę, bo mi się dzieciaki gdzieś rozpełzły i patrzę: Melcia w trawie siedzi i całą buzię ma zielska pełną. Jak nie zakrzyknę na nią, jak nie pocznę z ust jej wyjmować, bom się bała, by nie szkodliwe to zielsko było — a ona nie daje, główką kręci i powiada: „będę jeść trawę, bo mi matula nic jeść nie daje“. Powiedziała to: matula nic jeść nie daje, będę jeść trawę. I ja to słyszałam!...

Jużci, jeśli matka, to musi karmić swe dzieci, prawda, panie? Wszak byle ptaszysko robi to samo.

Oj, mądra dziecina: „Muszę jeść trawę, matula nic jeść nie daje“. A tu, gdyby choć gdzie ukraść — nigdzie nic nie ma. Wszę-

---

tnych pól. I dopiero w Langres żołnierze zrozumieli, że ich wiozą napowrót ku Paryżowi.

— Aha!... już teraz wiem!... to szelmy z pod ciemnej gwiazdy!... — wołał Chouteau, który już w swoim kącie rozgospodarował się, jak wszechwładny pan, mocą swej blagi — oni nas pewno wyciągną w linię koło Charontonneau po to tylko, żeby nie dać Bismarkowi przedrzemać się chwilkę w Tuilleriach.

Inni śmieli się do rozpuku i za boki się brali, sami nie wiedząc dlaczego. Zresztą najmniejsze wypadki, w trakcie drogi się wydarzające, wywoływały wrzaski lub śmiechy, wszystko zagłuszające. Chłopi ciekawie po obu stronach plantu drogi stojący, grupy ludzi niespokojnych, czekających na przejazd pociągu na małych stacyjkach, z nieokreśloną nadzieją pochwycenia jakichś pewnych wiadomości, cała ta Francya przerażona i drżąca przed najazdem — wszystko to dawało sposobność do wybuchów żalu, rozpaczy, wesołości...

I mieszkańcy okoliczni, którzy przybiegli tu po coś, coby im się pozytywnem wydać mogło, dostawali w twarz z prądem wiatru lokomotywy i błyskawicznem niknieniem wagonów, wśród par węglowych i huku pociągów tylko jakieś wściekłe wycie tej masy mięsa, na ubój wiezionego pospiesznym frachtem... Przecież na pewnej stacyi, gdzie się zatrzymano, trzy damy jakieś, bardzo przyzwoicie ubrane, bogate mieszczanki, które rozdawały żołnierzom bulion w filiżankach, miały istotne powodzenie. Biedni ludziska z płaczem dziękowali im i całowali je po rękach.

Ale dalej ohydne śpiewki i krzyki dzikie rozpoczęły się znowu. I zdarzyło się tak, że niedaleko po za Chaumont pociąg mijał się z innym pociągiem, naładowanym artylerzystami, których miano odwieść pod Metz. Bieg pociągów został zwolniony i żołnierze z przesuwających się koło siebie wagonów witali się i pozdrawiali z wrzaskiem strasznym. Zresztą przyznać trzeba, że piechurów przekrzyczeli artylerzyści, zapewnie bardziej pijani, którzy stojąc w oknach, powychylani z pięściami wyciągniętemi naprzód, wołali głosem tak wielkim, tak rozpaczliwym, że wszystko zagłuszał:

— Na rzeź!... na rzeź!... na rzeź!...

Zdawało się, że jakieś zimno, jakiś podmuch lodowatego wiatru przesunął się po pociągu. Nagle zrobiła się natychmiastowa wielka, lecz krótka cisza, wśród której dał się słyszeć śmiech gorzki i głos przenikliwy:

— Nie wesoła, panowie!... Co!?... ta artylerya!?...

— Co tam, wesoła, czy nie wesoła, ale ma racyę! — wykrzyknął Chouteau swym głosem mówcy szynkownianego. To przecież błazeństwo jest wysyłać taką kupę porządnych chłopców na rzeź niechybną, jak bydło do szlachtuza!... I za co!?... za jakieś głupstwa, o których oni najmniejszego pojęcia nie mają.

I w tym sensie gadał dalej. Był to podżegacz, zły robotnik, rzemieślnik leniwy z Montmartre, malarz pokojowy, amator włóczęgi, hulanki i bezrobocia, który źle przetrawił mowy, posłyszane na zebraniach publicznych i mieszał bezsensowne rezonowania, oślej głowy godne, z wielkiemi zasadami wolności i równości. On wiedział wszystko, on zawracał w głowie kolegom, a przedewszystkiem Lapoulowi, z którego postanowił sobie zucha wyrobić.

Cały wagon się śmiał, bawił, ujarzmiony tym dowcipem i Lapoulle, nie wiedząc co to takiego jest Bismark, Lapoulle, który nie byłby w stanie powiedzieć za kogo się bije, za króla, czy za cesarza. (D. c. n.).

dzie, po całej wiosce, ba, po wszystkich wioskach głód był straszliwy.

A tamta milczała! Nigdy nie poprosiła mię o nic, a chyba nie inne, jak moje dzieci, miała wnętrzności. Jeszcze, kiedy to u nas były okruchy czerstwego chleba i resztki ziemniaków — uwarzyłam, dałam dzieciom do misy: ona parę razy łyżkę do ust podniosła, lecz jak się moje dzieciaki ścisnęły, wnet odstąpiła. „Jeść ci się nie chce? — powiadam i złość mię porwała — a no, to nie jedz, skoroś tak sobie podjadła“. Jej łzy, jak groch z oczu, się posypały. Mnie, na ten widok większa jeszcze zajadłość opanowała; niechby się cisnęła do misy, niechby o każdy kęs kłóciła się z dziećmi — nie, ona odeszła tylko i płacze. „A no, to zdychaj z głodu!“ zakrzyknęłam. I do wieczora nie wyszła tak z kąta owego.

Wypijmy, jeszcze, co? Lepiej się mówi, gdy w gardle nie sucho. Co pan tak na mnie spoglądasz? Myślisz, żem nie zrobiła tego? Ba, toć byłam mocniejsza, nie taka na nic babina, jak dziś, i ręce były silniejsze... o silne — piekielnie silne! Jak pisklę niemi zdusiłam, ani jęknęła... I chodzę po świecie i nic mi nie jest i ziemia mię nosi... I! byłabym zapomniała... Tylko te oczy patrzą na mnie — wszędzie — z każdego kąta — w każdej chwili. — Czem dalej od nich jestem, tem one do mnie bliżej... a jak umierać będę, to chyba siądą mnie na piersiach i duszę wypiją ze mnie.

Twarzyczka blada była, chuda — wtedy wszyscy nosili takie twarze chude — pobladła bardziej jeszcze, gdy spostrzegła, że idę ku niej. Ani się wstrzęsła, ani próbowała uciekać, ustka tylko drżały i łzy wybiegały na rzęsa. Skuliła się w kąciku i zda się, czekała. Kogo czekała!?... Może, mnie, matki zgłodniałych dzieci, matki, co zabija sierotę, aby okruszyn od jej dzieci nie kradła...

Zabiłam — to i cóż? Miałamże patrzeć, jak moje brzękły, pęczniały z głodu? miałamże od nich odbierać, aby wyżywić tę znajdę, tę — bez matki? Miałamże słyszeć jak chrapały łkaniem, bo już głos ze ściśniętego nie wychodził gardziołka? miałamże widzieć, jak ten kwiatuszek w kolebce sechł, i tylko rączyny za mną wyciągał i tylko kwilił: mamo, mamo! Mnie, we wnętrzu — spalonym, zeschłym od głodu wnętrzu — od jęku tego targało się coś, rozrywało, dławiło — i nie zdławiło!... O, nie! ja żyłam...

Codzień budziłam się, aby widzieć gasnące me trupki, codzień kładłam się z westchnieniem: zabij mnie, Boże!

Ale Bóg daleko był wtedy od naszej wioski, daleko! W. Dal.

(Dokoń. nast.).

TUŁACZE NIEBIOS.

Pogadanka naukowa

przez Maryę Taïdę Parvi.

III.

Istota komet.

Każda kometa składa się zazwyczaj z jednego punktu, bardziej lub mniej błyszczącego i otoczonego mgławicą, która w jednym kierunku wydłuża się w kształcie smugi świetlanej. Punkt błyszczący nosi nazwę jądra komety; smuga świetlana, ciągnąca się poza jądrem, ma nazwę ogona, a ta część mgławicy, która jądro bezpośrednio otacza: włosów. Głową komety zaś nazywają jądro wraz z włosami.

Nie zawsze jednak przedstawiają się nam komety pod postacią wyżej opisaną. Czasem spostrzegamy je z kilku ogonami — a są nawet i takie, które oprócz jądra nie mają nic więcej. Wtedy są one nader podobne do planet. Wreszcie i takie czasami ukazują się komety, które są samą przez się mgławicą...

Co do rozciągłości ogonów komet, to są one nieraz olbrzymie, — i tak: sławne komety z lat: 1843, 1680, 1769, 1610 itp. miały ogony tak niezmiernej długości, iż zajmowały nimi ćwierć a nawet pół widnokręgu. Kometa z r. 1744 miała sześć ogonów (w każdym razie zjawiska tego rodzaju należą do nadzwyczajnych).

Komety uważać można za małe mgławice, błądzące od systemu do systemu, a utworzone przez zgęszczenie materyi kosmicznej, rozpostartej tak szczodrze w wszechświecie. Przypuśćmy lekki zbiór materyi kosmicznej (mgławicznej) — poruszającej się wśród przestworów, poza granicami systemu słonecznego. Jużto wskutek kierunku własnego ruchu, jużto przez zmianę położenia słońca w stosunku do nieskończoności — mgławica ta, odczuwając przyciąganie słoneczne, kieruje się w jego stronę. — Gdyby słońce nasze nie było otoczone planetami, lub gdyby było nieruchome — kometa obiegałaby je regularnie, coraz to wzmagając swą chyżość, po paraboli zupełnie symetrycznej... Ale wskutek ruchu planet po ich orbitach, kometa podlega zmianom w swej chyżości.

Jeżeli przyspieszenie biegu jej, dokonane w pobliżu planet, przewyższa opóźnienie — kometa opuszcza regiony atrakcyi naszego słońca z szybkością większą niż paraboliczna i nie powraca już nigdy... Jeżeli zaś przyczyny, opóźniające jej bieg przeważają, orbita jej zamieni się w elipsę mniej lub więcej wydłużoną. Zwłaszcza planeta Jowisz, jako najpotężniejsza z całego systemu planetarnego, może wpływem swoim uczynić z komety ciało stałe powrotne (biegnące po zamkniętej drodze eliptycznej) i zamienić ją niejako w członka systemu słonecznego [6]).

Ciekawy jeden fakt zaznaczyć nam tu wypada. Otóż np. kometa Encki'ego za każdym razem skraca czas swego ukazania się ponownego o $^1/_{10}$ dnia, czyli blisko o $2^1/_2$ godziny. Tak, że gdy w r. 1818 peryod jej powrotu wynosił 1.212 dni, to w r. 1835 liczył 1.211, a w r. 1858 tylko 1.210 dni itd. Stąd wynika, że kometa ta (a może i inne po eliptycznych drogach biegnące) wskutek działania planet tak dalece wzmagają swoją postępową chyżość, iż coraz bardziej zbliżają się do słońca i w końcu wpaść na nie będą musiały. Któż to wie zresztą? Hypoteza mówi wiele, niczego jednak nie tłumaczy, i tak dobrze może być uznaną jak i wręcz zaprzeczoną!

Ciekawszą jeszcze jest historya komety Biele'go.

Peryod jej powrotności obliczono na $6^1/_2$ lat. I rzeczywiście pojawiła się ona r. 1839, lecz z powodu bardzo zachmurzonego nieba nie mogła być wtedy obserwowaną. Następnie ujrzano ją znów r. 1845 dnia 25 listopada, zupełnie zgodnie z obliczeniem astronomów. Przez półtora blisko miesiąca bieg jej odbywał się prawidłowo, — nagle dnia 13 stycznia 1846 r. kometa ta rozbiła się na dwie komety i oddaliła się od ziemi w sfery nieskończoności. Powrót jej naznaczony na r. 1852 nie miał już wcale miejsca. Nadaremnie też śledzono za nią w następnych peryodach jej powrotności tj. w r. 1859, 1866, 1872 i 1877. Kometa ta przepadła — zaginęła, czy zniknęła. Łamano sobie głowę nad tem, co się z nią stać mogło — przypuszczano najrozmaitsze kombinacye — tworzono zgoła nieprawdopodobne hypotezy — lecz nic pewnego nie umiano o tem powiedzieć. Nagle 27 listopada 1877 r. spostrzeżono olbrzymi deszcz gwiazd spadających — prawdziwy deszcz — gdyż doliczono się ich w różnych stronach nieba przeszło 14000! Ponieważ deszcz ten przypadł właśnie w epoce, gdy powinna się była pojawić kometa Biele'go (peryod jej powrotu) i ponieważ spadł on właśnie w tej okolicy nieba, gdzieby ta kometa być powinna — przeto astronomowie uznali, iż przyczyną tego zjawiska było wejście w sferę atrakcyi ziemskiej szczątków poprzednio już rozbitej komety Biele'go i spadku na powierzchnię naszej planety drobin materyi kosmicznej, składających niedyś tę kometę. Stąd wniosek, że niekiedy mogą się też komety rozpaść na dwie lub więcej części — a nawet rozbić na drobiny, które następnie pod postacią gwiazd spadających przyczyniają się do zwiększenia masy innych ciał niebieskich n. p. planet.

Komety o peryodycznych powrotach obiegają słońce w bardzo rozmaitych okresach czasu i tak: kometa z r. 1866 powraca co 33 lat — podczas gdy kometa z r. 1864 potrzebuje na to aż 2,800.000 lat! a pośród tych ostateczności znajduje się cały szereg komet powrotnych jak n. p.

z r. 1812	powracająca co	71	lat
z r. 1846	„	„ 401	„
z r. 1811	„	„ 875	„
z r. 1858	„	„ 1950	„
z r. 1863	„	„ 3196	„
z r. 1822	„	„ 5649	„
z r. 1840	„	„ 13866	„
z r. 1844	„	„ 102050	„ itp.

Co do samego obiegu słońca przez komety zaznaczyć trzeba również nadzwyczajną ich ekscentryczność. Są np. takie, które w swem perihelium (przysłoneczność) zbliżają się w sposób niesłychany do słońca. Kometa np. z r. 1843 była wtedy od środka kuli słonecznej oddaloną zaledwie 805.000 km. t. j. przerzynała jego wodorodową atmosferę.

Prawdopodobnie jednak kometa ta uledz musiała (wskutek zbytniego zbliżenia się do słońca) pewnemu uszkodzeniu, gdyż właśnie podówczas (1843) zauważono na słońcu nową i znacznie większą niż zazwyczaj plamę. Astronomowie przypisywali jej powstanie spadkowi na powierzchnię słońca meteorytów z materyi kosmicznej tejże komety. Zresztą mniejsza o uszkodzenie lub zniszczenie jednej komety „albowiem — jak mówi Kepler — komet jest w niebiosach tyle, co ryb w oceanie“. Obliczono, że od 2000 lat przeszło poprzed naszemi oczyma co najmniej 15000 różnorodnych komet — a ileż ich przeszło niewidzialnych?! Zresztą... atrakcya słońca jest ogromną — orbity komet w ich afelium mogą wybiegać daleko poza drogę Neptuna — a błądząc od systemu do systemu mogą dochodzić do poważnej liczby miliardów! Któż to zbada kiedy? Są tajemnice dla umysłu ludzkiego dziś nieprzeniknione — lecz czy nadejdzie kiedykolwiek pora odsłonięcia ich zupełnego?... Zapewne nigdy! (D. c. n.).

RUDOLF J. KRONBAUER.

PAMIĘTNIKI SEKUNDARYUSZA

z czeskiego przełożył Wojciech Szukiewicz.

(„Lasciate ogni speranza, voi, ch'entrate"!
Dante przed bramą piekielną).

Właśnie upływa trzy lata od chwili, w której objąłem zastępstwo drugiego sekundaryusza w krajowym zakładzie dla obłąkanych w Pradze. Pamiętam niektóre szczegóły i chętnie je opowiem.

Była to jednostajna listopadowa niedziela, pamiętna tem jedynie, że cały dzień padał deszcz bez przerwy. O dziesiątej godzinie rano siedziałem sobie całkiem spokojnie w kancelaryi doktora kosmonoskiej filii, przygotowując z nieuniknioną bodaj u wszystkich lekarzy matematyczną nieakuratnością jadłospis na dzień następny. Pięć minut rachuję, dziesięć minut przeliczam kolumnę z temi samemi błędami, skręcam papierosa i wypalam go, spoglądając znużonym i tępym wzrokiem na jednostajny deszcz i zabłocone drogi obszernego parku kosmonowskich panów, hrabiów z Mirbachu. Mimowoli westchnąłem na wspomnienie o pięknych, a niezapomnianych spacerach po tychże drogach, podczas letnich wieczorów, gdy na ziemi dzień się kończył, a w mojem sercu zaczynał....

Pardon . . . . i już przepisuję limoniady, kompoty i grzyby marynowane, jakby te zamglone drzewa nigdy nie były świadkami rzeczy, nie kwalifikujących się ani do jadłospisu na poniedziałek 2 listopada, ani też nawet do — parku. Na chwilę wypadli mi z głowy pacyenci razem z przygotowanemi dla nich łakociami, odkładam pióro i przystępuję do okna ze wzrokiem, utkwionym w ołowiane niebo, jakbym się chciał pytać, jak długo właściwie ta niepogoda potrwa. Przyznaję szczerze, że się nudziłem....

Z uznania godnem zaparciem się siadłem przy stole i zliczam — jak, zobaczymy jutro, gdy otrzymam kartę po rewizyi administracyjnego urzędnika. Wszystkie błędy będą ostentacyjnie zakreślone karminowym atramentem, a z każdej poprawki będzie wyzierać zdanie: „panie sekundaryuszu, ja mam świadectwo z rachunkowości państwowej, a pan go przecie nie masz".

Na myśl o karminowych kreskach, rachuję zupełnie poprawnie.

Ktoś zapukał — wszedł dozorca.

— Czego?

— Wczoraj rano umarł dożywotnik Satrapa.

— Wiem o tem, pan prymaryusz był u niego.

— Ale ten człowiek nie ma z przeproszeniem ani kawałka szmaty, w którymby go pochować było można — oznajmiał dozorca właściwy cel swego przyjścia.

— Hm, jak to? — pytam się — a sam dziś nie wiem, czy z roztargnienia, czy też z niewiadomości.

— Ano tak, panie doktorze. Satrapa jest biedny jak mysz kościelna, a opuszczony jak dziczka w polu. Na całym świecie nie ma nikogo, aby mu przymknął powieki, a jutro pochowają go, jakby to było nieme stworzenie, a nie człowiek. Przeżył tu czternaście lat i przez cały czas nawet palcem nie ruszył. Panie doktorze, zbliża się dzień zaduszny, kładziemy go właśnie do trumny, musimy go na tych kilku deskach położyć nagiego, jak go Pan Bóg stworzył, możeby więc pan doktor pozwolił ubrać go na ostatnią drogę w zakładowe szaty.

W tem ktoś lekko zapukał do drzwi i wszedł posługacz pocztowy.

— Telegram — wygłosił z jakimś uroczystym akcentem jeszcze we drzwiach.

Potwierdzam odebranie telegramu i w oka mgnieniu odczytuję takie lakoniczne imperatywne zdanie: „Przyjeżdżaj pan pierwszym pociągiem na zastępstwo". Podpisany dyrektor krajowego Zakładu dla obłąkanych w Pradze.

Sługa pocztowy odszedł. Dozorca stał ciągle pokornie przy drzwiach. Przeszedłem dwa albo trzy razy kancelaryę w łatwo zrozumiałem wzruszeniu. Hm, hm... co się to takiego przytrafiło? Rozwijam szybko złożony papier i czytam raz jeszcze zagadkowy rozkaz.

„Przyjeżdżaj pan pierwszym pociągiem na zastępstwo. Krótki telegram — ważny rozkaz. Nic więcej.

Wtem zauważyłem dozorcę, stojącego ciągle przy drzwiach.

— Dobrze — powiadam krótko a węzłowato.

Dozorca odszedł, nie powiedziawszy ani słowa, ale zdawało mi się, że we drzwiach spojrzał na mnie ze zdziwienim. Stanąłem przy oknie, patrząc bezmyślnie na jesienną słotę. Na wysokich kupach zmiecionego liścia w ogrodzie zatrzymywał się śnieg, padający naprzemian z deszczem. Dróżki w dalszej części parku gubiły się powoli we mgle, jak jak te wspomnienia letnich wieczorów. W dymniku kopulastej wieży gruchało kilka gołębi, napuszonych i zmokłych, jak te zaniedbane wróble, kryjące się pod szerokim gzymsem, chwilami przysiadały się do siebie dwa gołębie. Snać tęskniły za gruchaniem, białe gardło samiczki tuliło się w zaufaniu do płowego samczyka, lecz ponury gołąb odlatywał aż do kąta. Objęcia towarzyszki widać nie grzały, lecz mroziły. Wróble, zbite w kłębek, wyglądały jak kupki pierza. Mury zakładu, porysowane zakratowanemi oknami, pokryte mokremi plamami i szaro naleciałemi pręgami, zionęły chłodem i mroziły ponurością więziennych fasad; brakowało tylko żołnierza z bagnetem, aby uzupełnić wrażenie.

Wiatr nie wiał, więc śnieg a deszcz padały ciężko i bezwładnie na zimną ziemię. Ciernie na drzewach akacyi, wilgotne i wodą nasiąkłe, błyszczały jak igły stalowe. Na przestronnem i rozległem podwórzu zakładowem nie było żywego ducha. Tylko pod werandą małego, w stylu szwajcarskim stawianego domku, stał w kącie wrotny, okryty ciężkim zimowym płaszczem, wetknąwszy pod kabat fajkę, aby rozpalona główka grzała wyziębione ciało. Stoi tam od samego rana, a listopadowa słota gorsza i przenikliwsza od styczniowego mrozu.

Naraz podwórze ożywiło się. Aż po szyję otulone w ciężkie, nieprzemakalne, gumowe płaszcze, idą trzy damy. Za niemi wloką się w lekkich, perkalowych sukniach z chustkami na głowach, spuszczonemi aż na oczy, dwie obłąkane kobiety, każda z nich niesie wielki wieniec z bluszczu, przetkanego bielutkiemi kuleczkami nieśmiertelników i kwiatami astrów. Wieńce te chorzy wili wczoraj i dzisiaj na korytarzach, a pani rządczyni z dwiema córeczkami niosą je na grób babki, którą z odpowiednim lamentem przed kilku dniami pochowały.

Ach tak, bo to dzień zaduszny!

Tuż za niemi idzie drugi orszak.

Dwaj zdrowi, dzielni chłopcy z workami, przerzuconemi przez głowy dla ochrony od przemoknięcia i z fajkami w zębach, niosą na szerokich noszach prostą, czarno malowaną trumnę z nieboszczykiem do grabarni. Gdy szli wzdłuż drzew, na mokre wieko spadło kilka żółtych i czerwonych liści.

To był zaduszny wieniec biedaka.

Widać nie było dla niego dość kwiatów w ogrodzie, ani dość ludzi na korytarzach, coby dla swego towarzysza mieli choć jeden wieniec.

Spieszę pociągiem za swojem powołaniem.

Oprócz kilku najpotrzebniejszych rzeczy, nie wziąłem ze sobą niczego. Przeprowadzałem się jak wojskowy kapelan od pułku do pułku, z komżą i słowem Bożem. Dzień zaduszny; dla czego mi to przyszło na myśl, sam nie wiem. Może dla tego, że przypadkiem jechałem z dziewczęciem, wiozącem wieńce na grób matki. Dosyć ładny wieniec: bluszcz, astry, nieśmiertelniki — dziewczę trzyma go uważnie w ręce i płacze zcicha. Pociąg huczy jednostajnie, przed oknem miga stacya za stacyą, krople deszczu pluskają chwilami po szybach, i dziewczę chwilami zaszlocha głośno — nie było mi wprawdzie zimno, a mimo to owinąłem się szczelnie w swój hawelok. Jesień bywa czasami przemijająco mroźna swemi refleksyami.

Siedzimy sami w coupé, dziewczę płacze a ja milczę.

Człowiek bezwzględny, uwiedziony jej niechybnie pięknem obliczem i dziewiczym biustem, pokusiłby się osuszyć łzy pustym frazesem, a bezwstydnem utkwieniem chciwego wzroku, skrócić sobie jednostajną jazdę. Siedzę w kącie, a zdanie to przeleciało mi przez głowę, jakby na usprawiedliwienie samego siebie, abym tylko mógł dalej spokojnie siedzieć.

Zamykam oczy i myśli przechodzą przez głowę swobodnie, jak dzieci bez dozoru. Wtem zrywam się gwałtownie.

— Wieczny Boże! — wołam w przerażeniu. Dziewczę wytrzeszczyło na mnie oczy i wypuściło wieniec na ziemię. Wcisnęła się do kąta, jakby z obawy przedemną. Gdyby znała moje myśli, krzyknęłaby może jeszcze silniej, niż ja przed chwilą.

Widzę w duchu wysmukłe córki rządczyni, za niemi otyłą mamę, za nią znowu w pokornem oddaleniu dwie kobiety niosą wieńce. W drugim orszaku idą dwaj mężczyźni z trumną.

— Kogóż to nieśli w tej trumnie?

— Satrapę.

Rano jest pogrzeb, a ja nie podpisałem przekazu, więc go pochowają n a g i e g o, jakby to było nieme stworzenie a nie człowiek.

Doskonale sobie przypomniałem, że dozorca odszedł, nie powiedziawszy ani słowa, ale we drzwiach dziwnie na mnie spojrzał.

Przybyłem do zakładu o wpół do szóstej wieczorem, przemokły i zziębnięty na całem ciele. Trząsłem się z zimna i szczękałem zębami, jak obdarty łachmaniarz. We wrotach przywitał mnie dobrotliwie sędziwy portjer.

„Pięknie witam pana sekundarjusza w Pradze".

Ponuro i niechętnie zamruczałem pod nosem coś, co miało być odpowiedzią.

„Pan dyrektor w kancelaryi?"

„Tak jest — właśnie czeka na pana doktora".

Dyrektor człowiek kształtnie zbudowany, wojskowego wzrostu, barczysty, mężczyzna co najwyżej czterdziestopięcioletni energicznego wyrazu twarzy, powitał mnie — ot tak sobie. Czekał na mnie przeszło dwie godziny, a to może znudzić nawet zakochaną kobietę.

„Mamy nieszczęście", rzekł z lekkim uśmiechem, będącym zarazem wymówką; „trzej lekarze zachorowali równocześnie". Cieszyłoby mnie bardzo, gdybyś pan mógł dziś jeszcze objąć inspekcyę na kobiecym oddziale pod liczbą XII?"

Kiwnąłem głową na znak zgody — najmniejszy to objaw ochoty. Wymieniliśmy między sobą kilka pytań i odpowiedzi, a tymczasem dyrektor ubierał się dość pospiesznie. Do kancelaryi weszła dozorczyni, mająca mnie przez korytarz zaprowadzić do mego pokoju.

„Dobranoc, panie sekundaryuszu!" zawołał już prawie za drzwiami mój przełożony. Widocznie spieszyło mu się bardzo. Nie odpowiedziałem nawet w przekonaniu, że dyrektor biegnie już po korytarzu i że nie usłyszałby słów moich.

Takie było moje przyjęcie i wprowadzenie na nowy urząd — dość jednostajne i krótkie, ale przecież tylko formalne. Zauważyłem, że dozorczyni ukradkiem pilnie mi się przygląda. Studyuje pewnie moją fizognomię — dlaczego, łatwo odgadnąć. Teraz dopiero spostrzegłem, że trzyma w ręku zapaloną latarnię.

„Czy musimy iść przez szpitalny ogród?"

„Tak, panie doktorze".

„A tam pewnie błota aż po kolana".

„Proszę, niech pan spojrzy". Przy tych słowach podniosła dozorczyni do góry jedną nogę, zabłoconą aż po kostki. Odpowiadała wprawdzie na moje pytanie, ale przy sposobności chciała pokazać swą pełną nogę. Ma koło trzydziestu lat, pełną regularną twarz i dziwnie żywe, może nawet za żywe oczy. Przyszła tak, chodzi po korytarzu, narzuciwszy na siebie tylko wielką chustkę — tedy w krótkiej sukni i białym nocnym kaftaniku.

„Chodźmy!", powiedziałem surowo.

Za cztery minuty znalazłem się w swym pokoiku. Dozorczyni zapaliła lampę, zrobiła przegląd umywalni, zajrzała do pieca, czy dostatecznie nałożono, i, jak spostrzegłem, nie zamierzała prędko ukończyć swej aż nadto usłużnej rewizyi.

„Możecie iść, nie potrzebuję niczego więcej", ochłodziłem jej gorliwość mroźnem upomnieniem.

Dopiero teraz odrzuciłem na dobre przemoczony hawelok. W pokoju było przyjemnie ciepło, aż błogiego doznałem uczucia. Podkręciłem knot u lampy, aby módz swój prowizoryczny kąt należycie obejrzeć. Był to przestronny pokój o trzech oknach, kończących się rzymskim łukiem. Środkowe okno o całą stopę wyższe i niepomiernie szersze — zewnątrz możnaby mój pokój wziąć za kaplicę domową. Łuki zakratowane starożytną i na pierwszy rzut oka artystycznie odrobioną kratą. Była to pewnie ongi kaplica, o czem zresztą świadczy i to, że budynek jest resztką dawnego żeńskiego klasztoru, zmienionego w zakład obłąkanych. Godna zamiana, jeżeli zważymy, że tu i owdzie przemieniono klasztory we fabryki, składy, albo wreszcie i — w stajnie. Strop sklepienny na podobieństwo zgiętego półłuku, w środku resztki popękanego malowidła al fresco, przedstawiającego narodzenie Pańskie. Ściany równe, bez wszelkich framug albo występów, które zostały wyraźnie zamurowane albo usunięte z praktycznych powodów.

Meble wprawdzie liczne ale dosyć ubogie. Między bocznemi oknami a czołem ku środkowemu stoi masywne biurko z orzechowego drzewa; sądząc z objętości pewnie spadek po jakiejś administracyjnej kancelaryi.

W jednym rogu szafa kolosalnych rozmiarów, w drugim wąskie i wysokie półki z medycznemi wagami, retortami i różnemi flaszeczkami oraz pudełeczkami na leki podręczne, w środku przeciwległej ściany szafka na książki, zasłonięta mocno wyblakłą, niegdyś jasno-zieloną zasłoną, na prawo od drzwi umywalnia, w lewym kącie żelazne łóżko z włosianą poduszką i skromną białą kołdrą. O mało nie zapomniałem o — szaragach oryginalnych kształtów — ja przynajmniej podobnych nigdzie i u nikogo nie widziałem.

Rozglądam się dokoła, bodaj niczego nie pominąłem, gdy nagle w cieniu, utworzonym przez róg szafy i ściany, spostrzegam zakryty przedmiot, wysokości stojącego człowieka. Przystępuję bliżej — i widzę szlafrok z czerwonem lamowaniem i czerwonemi kutasami. Zdejmuję go i przyznaję, że się trochę przeląkłem. Mój poprzednik używał za wieszadło — ludzkiego szkieletu.

Jestem wprawdzie w cudzem mieszkaniu, ale któż wie, jak długo tu pobędę. Podnoszę lampę wyżej do sufitu, aby pełne światło padało na biurko. W środku na dwóch tomach ilustrowanego Shakespeara, leży fotografia dziewczyny, w gabinetowym formacie, w srebrnych ramkach, z girlandą alpejskich szarotek.

Spoglądam na fotografię z tem zajęciem, jakie budzi każda piękna twarz w ogóle. Owal pulchnych policzków uderza jakąś szczególniejszą rezygnacyą i całkiem wyraźnym smutkiem w oczach, do góry wzniesionych. W ustach tkwią dwie małe gałązki z kwiatkami. Dziewiczą pierś, wydatnie zarysowaną, obciska biały stanik. Wszystko w tym wizerunku dziewczyny pociąga — pełne, pyszne policzki, okrągła, pełna broda, złączona z twarzą płytkiem zagłębieniem, majestatyczna szyja, lekko przykryte łono, o którem człowiek ma niejasne pojęcie, że błyszczy jak kryształowy alabaster śniegu, że jest cudne i nietknięte jak świeżo rozwinięty pączek białej róży. Czarny, bujny, błyszczący włos, wydziera się gwałtownie i namiętnie z pod białego nakrycia; tylko oko, utkwione marzycielsko w niedościgłe wyżyny, wygląda, jakby żałośnie błagało: kochaj także moją duszę! Do kogo mówi to cudne oko, przez które przemawia niewinna dusza z tak wymowną prośbą, niszcząc wrażenie upajającego ciała i prosząc o miłość, czystą jak gwiazda? Zapewne do mego poprzednika? Chory — dla czegoż nie wziął jej podobizny ze sobą? Czy była ona znaczącym dla niego podarunkiem, a człowiek ten nie pojął jej natchnionej prośby? Bogu samemu wiadomo, dlaczego w tej chwili przyszła mi na myśl dozorczyni z żywemi i rozpustnemi oczami.

— Twym aniołem stróżem były tylko twoje oczy — powiedziałem na głos, patrząc poważnie i smutnie na dziwny obraz.

Z niedalekiej wieży kościoła św. Apolinarego uderzyła godzina ósma.

Przypomniałem sobie dwie rzeczy, po pierwsze, iż od śniadania oprócz własnego języka nie miałem niczego innego w ustach, a po drugie, że nie obejrzałem jeszcze korytarza. Na jadło żadnej nie miałem ochoty, choć odbyłem spory kawał drogi. Dopiero ósma godzina, a minuty wloką się, jak oddech suchotnika. Pójdę na korytarz. Mój pokój znajduje się w jednym rzędzie z celami chorych, i to właśnie w samym środku. Na lewo i na prawo leżą chore kobiety — dziwi mnie, że wszędzie tak cicho. Otwieram drzwi i wchodzę do długiego, wązkiego korytarza, w którym na dzień zbierają się obłąkani. Okna wychodzą na drugi ogród; budynek ten jest wązkiem skrzydłem, łączącem dwie główne części zakładu, tak zwanego „Starego" i „Nowego domu". Na korytarzu palą się dwie lampki olejne, w każdym rogu jedna. W środku ciemno, a tylko na obydwóch końcach mała oświecona przestrzeń. Tu i owdzie leży porzucona część ubrania — suknie, szlafrok, fartuch, pończochy, albo koszule. Na stołach, rozstawionych między oknami, walają się resztki chleba i buchty z pozostałej wieczerzy; wszystko to porwane i podrobione jak przez małe dzieci. Przechodzę przez korytarz od jednego końca do drugiego, przeglądając uważnie zaćmione kąty między oknami. W sklepieniu trzeciego okna stoi schylona i skurczona chora. Głowa przyciśnięta do okna, a oczy zapatrzone gdzieś w ciemną dal. Stała jak posąg.

Kładę delikatnie rękę na ramieniu i powiadam:

— Idźcie spać, już niedługo dziewiąta.

Kobieta, której twarzy nie widziałem, a o wieku nie mogłem nawet z ciała sądzić, milczy i patrzy dalej w ciemność.

— Idźcież przecie położyć się wygodnie, budzę ją po raz drugi z letargicznego snu.

Kobieta, miasto odpowiedzi, zaczyna gwałtownie płakać. Podnosi głowę, zwraca się ku mnie — ta dwudziestopięcioletnia istota, ale stroskana, zniszczona, wychudła.

— Dla czego stoisz tu tak sama, a nie idziesz między inne?

— Nie pójdę — czekam aż gwiazda spadnie z nieba — wygłosiła zuchwale.

— Czekasz na gwiazdkę? — aż zleci? — a to dla czego?

— Gdy gwiazdka z nieba spadnie, a ja ją ujrzę, to w trzy dni umrę — powiedziała w rozmarzeniu.

— Ależ dzisiaj gwiazdy nawet nie świecą, zauważyłem całkiem poważnie.

— Ach Boże, mocny Boże — załkała rozdzierająco — kiedyż się nareszcie tej śmierci doczekam? Ja tyle, tyle cierpię, a na gwiazdkę czekam już pięć lat.

Nim się opamiętałem, zniknęła we drzwiach tuż obok mego pokoju.

Przypominam sobie słowa jednego z kolegów: „Dokądby człowiek zaszedł, gdyby miał się przejmować temi wszystkimi epizodami?

Korytarz całkiem próżny, w żadnym kącie ani żywej duszy. W rogu jedna lampka czadzi i dopala się, szkło do połowy zaczernione i napełnione wełnistą masą sadzy. Przystawiłem sobie stołek, zdjąłem lampę ze ściany, otworzyłem okno i zgasiłem światło. Śmierdzący i gryzący dym walił silnym prądem przez okno. Otworzyłem jeszcze dwa okna, gdyż ostry, kwaśny odór, przesycony wszekiemi możliwemi wyziewami, był nieznośny i prawie dech w gardle tamował. Korytarz nie był widocznie ze dwa dni przewietrzany, a w tem strasznem powietrzu, gęstem jak mgła, spędzają ci biedni cały dzień. Gdybym nie był palił, musiałbym odejść natychmiast.

Dzisiaj po raz pierwszy od czasu, jak jestem w zakładzie, ogarnęła mnie jakaś dusząca, ciężka tęsknota. Wieczorem pokazywałem się bardzo rzadko między chorymi i to tylko wtedy, kiedy obecność moja była niezbędnie potrzebna. Mieszkanie moję w Kosmonosach było od zakładu oddzielone; wolny, przestronny salon, o czterech oknach, z czarownym widokiem na malowniczo położony Młody Bolesław na tle bujnie porosłego chlumu, na pamiętną „Putnę" Michałowskiego grodu, wyraźnie ku przodowi pochyloną i gotową każdej chwili runąć — z drugich dwóch okien było widać bielący gdzieś daleko Baków, ruiny Zwirzetyckie, a na horyzoncie stary tatuś Jesztied.... W jasną, księżycową noc, kiedy cała szeroka okolica, tak spokojnie w tem świetle drzemała, jak małe dziecko na piersiach matki, a wszystko spoczywało z ufnością i bez troski, wtedy było mi swobodnie; dusza rozprzestrzeniała się jak to światło, a ja spoglądałem, jak ono cały świat ogarnia. Marzyłem, a dusza moja bujała jak motyl po kwiatach to białych, to czarnych, jakie los w ogrodzie naszego życia zasadził. Księżyc opadał zwolna za lesisty chlum, tak, jak biały łabędź, co z jasnej powierzchni jeziora w trzcinach się kryje, a dusza moja wracała z włóczęgi, jak ptak w opuszczone gniazdo. Gdzie była, sam Bóg wie, ale nieraz wracała smutna, przerażona i wstrząśnięta, jakby nawiedzała martwych. Zabłądziła w przeszłość, a każda przeszłość jest cmentarzem z kilku grobami, nad któremi każdy człowiek musi zapłakać. (C. d. n.).

Z CHWILI.

(Kronika społeczno-polityczna).

VII.

(Samorząd Galicyi. — Niezwykły przestępca. — Proces w Montbrison. — Podróże Bismarka. — † Edward Herbst).

Niewesoło, bo stwierdzeniem choroby, toczącej organizm autonomii krajowej, wypada rozpocząć nam dzisiejszą kronikę. Od pewnego czasu tak przywykliśmy do rozwiązywań przez rząd rad gminnych i powiatowych, że wcale nie zadziwiły nas ostatnie fakta zawieszenia autonomii: w Zakopanem i Tarnopolu i gotowiśmy nawet wierzyć, że podobny los spotka wkrótce Przemyśl i stolicę kraju: Lwów! W Zakopanem, do niedawna górskiej wioszczynie, dziś modnem zdrojowisku, gospodarował „naczelnik" na własną rękę, nie troszcząc się wcale o składanie rachunków z pieniędzy gminnych. Ów pan „Tatar" sprawował rządy iście tatarskie, obchodząc wszelkie ustawy gminne i państwowe, co oczywiście, spowodować musiało niesłychane nadużycia na benefis p. wójta. Obecnie „Tatar" siedzi w kozie, a nad Zakopanem skrzydła opiekuńcze rozpostarł Wydział krajowy. — W Tarnopolu stwierdzono również „nieprawidłowości" w łonie gminy, we Lwowie zaś działy sie o pomstę do nieba wołające nadużycia przy wyborze „ojców miasta", o czem teraz przekonano się dowodnie*). — Przejdźmy z kolei do sprawy ciekawszej, na naszym, niestety, gruncie wykwitłej. W początkach r. b. przybył do Lwowa młody człowiek: Hendigery, który mieniąc się doktorem filozofii oksfordzkiego uniwersytetu, obchodził redakcye najpoważniejszych pism i częstował je swemi artykułami najrozmaitszej treści. Pan ten umiał zręcznością podejść redaktorów i pozyskać ich zaufanie. We Lwowie wygłosił banalny odczyt: „O zmysłach", nawiązywał tam z łatwością stosunki z najczcigodniejszemi osobami i domami, a nawet zjednał sobie przychylność jednego z wybitnych dziennikarzy tamtejszych, którego córkę poślubił. W Krakowie, gdzie Hendigery (czy Hindigier) przebywał po ślubie, również porobił znajomości, przeważnie z dziennikarzami, i udawał zręcznie gorącego patryotę. Dopiero kilka tygodni temu wyszło na jaw, że Hendigery należał do najniebezpieczniejszych szpiegów. Kryminalistyka nie miała pono dotąd do czynienia z podobnym łotrem. Hendigery podenuncyował rządowi rosyjskiemu najniewinniejszych ludzi z Galicyi i spowodował szereg aresztowań i rewizyj u nas i w Warszawie. Ten pseudo-doktór, prelegent i publicysta, wykombinował sobie sprzysiężenie na życie cara, za którego odkrycie grube chciał zarobić pieniądze. Agenta rosyjskiego, przysłanego tutaj do pomocy Hendiger'yemu, potrafił omamić fikcyjnym spiskiem i wyłudził odeń znaczniejszą zaliczkę. Dla upozorowania „spisku" brakło jeszcze Hendiger'yemu dynamitu. Udał się więc do Katowic, celem nabycia pewnej ilości dynamitu i podrzucenia go jadącemu do Warszawy obywatelowi. Tutaj, na szczęście, urwało się ptaszkowi. Policyi austryackiej udało się złapać szpiega i zamknąć go do klatki, gdzie oczekuje wyroku sądu. Hendigery jest poddanym rosyjskim, nie wiadomo jednak, czy był on oszustem na wielką skalę, który chciał rząd rosyjski wywieść w pole, czy też agentem prowokacyjnym sąsiedniego państwa, działającym z nakazu rządu, który szuka coraz to nowych, zawsze fikcyjnych powodów, do teroryzowania naszych nieszczęśliwych braci w Królestwie. —

Wyczerpawszy temat swojski — udamy się poń zagranicę. — W Montbrison skończył się właśnie proces głośnego Ravachola skazaniem tegoż na śmierć za kilka ciężkich, a pospolitych zbrodni. Przyznać musimy słuszność słowom prokuratora tegoż sądu, który rzekł, że dobrze się stało, że w Paryżu, gdzie sądzono Ravachola jako anarchistę, nie skazano go na stracenie. Gdyby to nastąpiło, tenże zginąłby jako ofiara idei, lubo idei strasznych ale zawsze idei, tymczasem Ravachol to zbrodniarz potworny a pospolity i jako taki powinien dać głowę. Ravacholowi udowodniono morderstwo na pustelniku w Chanchles i sprofanowanie grobu. Innych, licznych morderstw, mimo silnych poszlaków i zeznań świadków, dowieść mu nie zdołano. Ravachol podczas procesu tak jak i w Paryżu groził sędziom zemstą anarchistów, przeciw wyrokowi jednak apelacyi nie założył. Do zanotowania z procesu tego nadaje się taki epizod. Jeden z obywateli Montbrison, dowiedziawszy się o wylosowaniu go na sędziego przysięgłego, zemdlał. Istotnie, był to odważny Francuz!

I tak więc nie sprawdziły się pogłoski o pogodzeniu się dynastyi Hohenzollernów z dynastyą Bismarków. Stary samotnik z Friedrichsruhe, przejeżdżając przez Berlin do Wiednia, nie wyszedł nawet z wagonu, dopóki znajdował się w granicach przez siebie skleconej Rzeszy, milczał, a pytany odpowiadał, że milczeć musi, skoro jednak znalazł się w Czechach, popuścił cugli gadatliwości i palnął sobie polityczną mówkę, którą telegramy po świecie rozniosły. W Wiedniu, nad „modrym, pięknym Dunajem", witano exkanclerza, jak zbawcę. Dwór tylko i dyplomacya milcząco pozostały na uboczu, natomiast, studenci-Szönerowicze, wyprawili mu owacye, przyczem nie obeszło się bez rozlewu krwi, gdy policya przeszkodzić chciała zbyt donośnym demonstracyom. Po wspaniałym ślubie Bismarka II odbyła się uczta, a dni następnych miały miejsce wizyty i interviewy, z których ostatni (sprawozdawcy „N. fr. Pressy" z księciem) wielkiej nabrał doniosłości.

Przed drżącym, jak listek ze wzruszenia, wiedeńskim redaktorem przyznał się stary lis do swego obłudnego z Austryą postępowania, traktaty handlowe nazwał wyzyskiem Niemiec przez Austro-Węgry, co znowu mu się podobało, gdyż te ostatnie umiały korzystać z rzeczy; obecną politykę Niemiec krytykował, żałował zerwania z Rosyą, politykę prusko-polską ostro zganił, a wojnę z Francyą nazwał nieuniknioną; w końcu oświadczył, że nigdy nie powróci do władzy. Co do tego to nie pomylił się Hercog na Leunburgu, bo chyba cesarz Wilhelm nie byłby cesarzem Wilhelmem, gdyby inaczej stać się miało. —

Nekrologią zakończyć musimy dzisiejszą kronikę. Umarł we Wiedniu Edward Herbst, poseł do Sejmu czeskiego i parlamentu wiedeńskiego, członek klubu zjednoczonej lewicy i były minister sprawiedliwości w gabinecie Ks. Karola Auersperga, zwanem Bürgerministeryum. Herbst urodził się w Wiedniu 1820 r. 9 grudnia; po ukończeniu Uniwersytetu w 1843 r., jako doktór praw wstąpił do prokuratoryi nadwornej, potem jednak zmienił zawód na profesorski; w roku 1847 zamianowano go we Lwowie profesorem i powierzono mu katedrę filozofii prawa i prawa karnego. W dziesięć lat później objął takąż samą posadę w Pradze i pisał tam liczne dzieła prawnicze do dziś używane; w 61 r. wstępuje na arenę polityczną. W tym roku (1861) wybrany do Sejmu czeskiego, od razu dał się poznać jako przeciwnik żądań czeskich i zagorzały centralista. Mimo, że zmarły nie należał do przyjaciół Polaków, nie można mu odmówić uznania i pamięci za jego prace z dziedziny prawa, za jego olbrzymie zdolności i rzeczywiste zasługi, jakie położył około rozwoju państwa na polu życia politycznego. Z. P-vi.

SALONY PARYSKIE.

(Obcy i nasi).

Od miesiąca już otwarte są podwoje salonów paryzkich. Na polach Elizejskich, w salonie Niezawisłych, na polu Marsowem, gromadzi się tłumnie publiczność, w niedzielę zwłaszcza trudno przecisnąć się przez salę. Krytyka zbiera teraz obfite żniwo, artyści — osobliwie jeśli są francuzami — otrzymują stałe pochwały. Boż istotnie wśród wystawionych w rozmaitych miejscach sześciu tysięcy obrazów i tysiąca rzeźb można wybierać.

Ze względu na obfitość materyałów zatrzymam się nad salonem Pól Elizejskich. Obesłany jest jak zwykle najliczniej; poważny jego wiek — istnieje już od 110 lat — i dawne tryumfy wciąż jeszcze zwracają na

*) We Lwowie, wskutek złożenia mandatów przez 30 radnych — unieważniono akt wyborczy i rozpisano nowe wybory. *(Przyp. Red.)*.

niego uwagę malarzy. Wyrasta mu wprawdzie pod bokiem, tuż obok wieży Eifflowej, groźny przeciwnik w założonym przed dwoma laty salonie z pola Marsowego, lecz przeciwnik ów nie zmężniał jeszcze i zapewne za kilkanaście dopiero lat opanuje sytuacyę. Dotychczas zaś główną uwagę zwracają na siebie pola Elizejskie. Trzydzieści trzy sale mieszczą tu blisko 3000 obrazów, pasteli i rysunków.

Wypełniły je rozmaite narodowości: Francuzi, Holendrzy, Hiszpanie, Szkoci, Słowianie. Obrazów polskich spotykamy w tym roku mniej niż dawniej. Cechy charakterystyczne poszczególnych narodowości dadzą się odnaleźć do pewnego stopnia. Szkoci omgleni są trochę średniowiecznością, Hiszpanie malują jaskrawo, Holendrzy dają obrazy z życia domowego, Francuzi zarzucają malowanie ciał nagich i rzucają się do — nieudanych zazwyczaj — obrazów patryotyczno-historycznych. Obok tych zauważyć się daje jeszcze sympatyczny bardzo objaw przeprowadzania w obrazach myśli głębszych, często nawet społecznych. Nie zawsze idzie z nią w parze obrobienie artystyczne, w kilku jednak wypadkach obie zalety zlewają się w jeden harmonijny akord.

W pierwszej sali uderza nas głębokością swej myśli i potężnem opracowaniem ogromny obraz: „Zdobywcy“, wykonany przez jednego z najwybitniejszych malarzy francuzkich, Fritela. Ponura, ciemna noc zalega tło, ku środkowi mroki bledniejąą, rozproszone połyskami zbroi i złota zdobywców. Zwartą kolumną jak chmura demonów suną oni naprzód. Po środku dumny Cezar, po bokach w szary płaszcz odziany Napoleon, kolczastą koroną połyskujący Karol Wielki, w stalowy pancerz okuty śniady Sezostris, odziany w białą, powłóczystą szatę, na rydwanie ciągnionym przez śnieżnej bieli rumaki, Aleksander. Wszystkich oczy głęboko ukryte, ponure, jakby wieże, konie kroczą ciężko jak z marmuru, jeźdźcy nie myślą nawet patrzeć na ślady, pozostawione za sobą, łakną tylko sławy, zdobyczy, ta żądza ich ogłusza i odurza. A po ich bokach olbrzymie, olbrzymie stosy bladych, nagich trupów; ciągną się one i ciągną i w dali nieskończonej, odległej jeszcze świecą swą bielą. Czyż nie powstaną one nigdy, czyż nigdy nie zgniotą tych, co ich wysłali na śmierć i zniszczenie? Obraz Fritela natchniony tak wzniosłą myślą, posiada jedną wadę artystyczną: ciała wszystkie nagie, ułożone są warstwami umiarowanemi, jednostajnemi. Pobudziła do tego artystę zdaje się alegoryczna myśl obrazu, lecz tym razem osłabiło to uwarstwowienie efekt. Alegorya wymaga spokoju i miary, lecz tylko o tyle, o ile napotyka się je w życiu.

Innego pokroju są dwa obrazy społeczne: holendra Van Aken'a i francuza Camme'a. Van Aken'a podpisany: „Z padołu płaczu“. W nędznej chacie, opuszczona, biedna wyrobnica, siedzi na łóżku. Twarz jeszcze młoda, lecz nędza już dawno starła świeżość i wesołość, nareszcie wyczerpany organizm zatruła ciężka choroba: gruźlica. I oto siedzi nieszczęsna suchotnica, w jednej ręce trzyma na pogotowiu chustkę, by miała w co splunąć czerwoną krew, drugą przycisnęła do piersi, jakby ból chciała w niej stłumić. Obok dobra sąsiadka, co przyszła pocieszyć strapioną. Za nią przy łóżku wypróżniona flaszka z lekarstwa. Patrzy smutno przed siebie; co jej z pociechy i lekarstw. Zabiło ją życie, zabiło...

Camme, jakby przeczuwał podany w dziennikach z przed dni kilku fakt śmierci głodowej młodego ucznia szkoły sztuk pięknych; obraz jego nosi tytuł: „Nędza“. W ciasnej mansardzie na 7em piętrze siedzi samotny i znękany malarz. Przed nim stalugi, obok pędzle i paleta. Na twarzy wyryte piętno głodu, oczy smutne, jakby przygasłe, na oknie kromka suchego chleba i resztki mleka. Co będzie dalej? Czy znajdzie bratnią dłoń, co pomoże, podtrzyma, czy też skazany na zagładę zginie?

Bardzo piękny jest obraz amerykanina Thomasa: Niewinna ofiara.

Ziemia drży jeszcze od huku armat, w powietrzu czuć woń prochu, nad zżółkłem polem, nad podeptaną murawą szumi skrzydłem blady anioł śmierci. Na ustroniu między rannymi, zalegającymi pole bitwy — grupa zakonnic, opatrująca rannych, otoczyła rażoną w serce siostrę miłosierdzia. Chcą ją brać na nosze, ona leży już nieżywa, z głową w tył przechyloną, z zamkniętemi oczyma i ręką na piersi. Na twarzy otoczenia maluje się ból i smutek, uciekło z pośród nich jedno życie, za chwilę i z nich ktoś będzie tak leżeć.

Obraz anglika Tucker'a; „Spieszne wezwanie“ odznacza się zwłaszcza dobrem wystudyowaniem trwogi. Późno wieczorem spokojni mieszkańcy ustronia spożywają wieczerzę. Ojciec z twarzą ogorzałą od słońca przed chwilą powrócił z pola, matka przygotowała skromny posiłek. Przy stole siedzi ich 5-letnia córeczka, w pobliżu mieści się kolebka z niemowlęciem. W tem ktoś zastukał, otwierają się drzwi, wchodzą dwaj ludzie z twarzami tajemniczemi, z latarniami w rękach, dając znak gospodarzowi aby wyszedł; sprawa nie cierpi zwłoki, trzeba iść spiesznie. Matka z przestrachem spogląda to na dziecko, to na przybyszów, chce jakby zatrzymać męża. Temat przypomina trochę Grottgera. Gra światła oddana świetnie.

Z polskich obrazów zwracają na siebie uwagę lwowianina p. Reyznera: „Nieszpory“. Trzy baby ciemno ubrane siedzą pod kościołem z różańcami w rękach. Jedna spuściła głowę na bok i usnęła snem sprawiedliwego. Druga o rzeźwem spojrzeniu złożyła ręce: modli się gorąco. Trzecia zażywa tabakę. Kruchta kościoła, ława bab odmalowana z talentem, kto raz widział tylko u nas nieszpory — odczuje prawdę życiową i przywiązanie naszego artysty do wszystkiego, co polskie.

Tego samego przenoszenia myśli do ojczyzny doświadczamy przy wielkim pastelu Anny Bilińskiej: Chłop polski. Włościanin z pod Krakowa pali fajkę, siedząc na ławie, ubrany w białą sukmanę, przepasany czerwoną krajką. Twarz zamyślona, łagodna, oczy niebieskie jak błękit, cała postać typowa — tchnie życiem.

Drugi obraz panny Bilińskiej: „Si j'étais du gouvernement“ jako wybitnie paryzki, skupia licznych widzów. „Concierge“ (odźwierny) z czerwonym nosem w granatowym fartuchu, odczytuje jakiś artykuł w brukowem piśmie „Petit journalice“. Widocznie nie zupełnie aprobuje panów przedstawicieli republiki francuskiej, bo wskazując palcem na siebie, wyraźnie mówi, że gdyby to on znalazł się u steru rządów, byłoby inaczej. Wykonanie udatne, twarz dowodnie stwierdza, że wyszła z pod pędzla znanej portrecistki.

Z innych Polaków wystawili jeszcze pp. Austen dobrze oddany odpływ morza, Gierymski z talentem uchwycone dwa widoki nocne Paryża; Zawiski (! red.): Wspomnienia.

W dziale rzeźbiarskim nie możemy pominąć Kosyniera pani Tarnowskiej (Andriolli). Twarz pełna stanowczości, kosa zarzucona na ramię i ściśnięta pięść, świadczą o gotowości do walki, do boju za ojczyznę. Wykonanie artystyczne, postać promieniejąca miłością ku ojczyźnie, zasługuje na szczere uznanie dla wiele obiecującej rzeźbiarki.

Paryż, w czerwcu 1892. Elma.

Kronika bieżąca.

Trzynaście lat temu zmarł w Krakowie w kwiecie wieku (w 23 wiośnie życia) niezapomnianej pamięci artysta-malarz: Maurycy Gottlieb, który zostawił po sobie znakomitą kartę w dziejach sztuki polskiej. W twórczości jego górował zawsze pierwiastek idealizmu — Gottlieb bowiem był malarzem — poetą, składającym swój bogaty talent na ołtarzu malarstwa polskiego. Rzecz dziwna: w życiu doznawał prawie tylko zawodów i goryczy, stąpał po głogach, a jednak patrzał na nie z punktu widzenia idealnego, nie skarżył się, lecz przeciwnie skarby wielkiej, wierzącej i przebaczającej duszy zaklinał w formy nieśmiertelne, opromieniał blaskami czystej poezyi. Dawno należało się oddać, choćby w zwykły, zwyczajowy sposób, wyraz uznania działalności Gottlieba, zwłaszcza jego współwyznawcy, liczący wśród siebie tak niewielu jemu podobnych, winni byli uczcić odpowiednio pamięć twórcy „Urjela Akosty i Judyty“.

Zrobiono to w lat 13 po zgonie Gottlieba, ale lepiej, że się stało dziś, niż gdyby się nigdy stać nie miało.

Dnia 29 z. m. odsłonięto na cmentarzu żydowskim ładny granitowy pomnik Gottlieba, na którym wyryte zostały następujące słowa:

„Barwami pisał podniosłe pieśnie
„Dla braci, których miłował,
„Śmierć go wydarła światu zawcześnie,
„Świat pamięć o nim zachował“.

W uroczystości odsłonięcia pomnika wzięli udział przedstawiciele prasy, artyści — malarze i liczna publiczność. Mowy okolicznościowe wygłosili: pp. prof. Łuszczkiewicz, Feldman i Suesser.

We Lwowie odbyła się konferencya delegatów w sprawie urządzenia tamże wystawy krajowej w r. 1894. Obok działu przemysłowego będzie urządzona wystawa retrospektywna, która da pełny obraz rozwoju naszego artystycznego przemysłu i sztuki malarskiej.

Nadesłano nam IX sprawozdanie z działalności krak. Towarzystwa oświaty ludowej (za r. 1891), które przedłożone zostało walnemu zgromadzeniu, odbytemu 30 z. m. Z publikacyi tej, zalecającej się skrupulatnem zestawieniem wyników rocznych akcyi Tow. — podnieść należy kilka szczegółów. Z końcem r. 1890 liczba czytelń doszła do 303, w r. 1891 założono nowych czytelń 107, obecnie (do koniec maja) liczba ogólna czytelń wynosi 460. Do nowych (107) czytelń posłał wydział 13.090 dziełek, wartości 3.300 złr. 63 ct. Ogółem rozesłano w r. z. książek 17.831, wartości 4.591 złr. 68 ct. Sprawozdań o stanie i ruchu w czytelniach otrzymał wydział w r. u. tylko 233. Z tych zauważyć się daje, że największego kontyngensu czytelników po wsiach dostarczają młodzi parobczaki i gospodarze. Czytanie wspólne jest dość rozpowszechnione. Objaw to pożądany. Książki historyczne są bardzo poszukiwane — pouczają one

lud o przeszłości Ojczyzny i potęgują uczucia patryotyczne.

Ogólna suma dochodów Tow. za r. 1891 wynosi 5,269 złr. 30 ct., jest więc mniejszą od dochodów z r. 1890 (8331 złr.) Podstawą przychodów Tow. są roczne wkładki członków. Niestety, liczba członków nie jest wcale imponującą, a na surowe skarcenie zasługuje fakt, że i pp. członkowie zalegają z wkładkami. Stać nas na wszystko — tylko nie na cele użyteczne, humanitarne! Szan. zarządowi Tow. oświaty ludowej należy się szczere uznanie za gorliwą i bezinteresowną pracę, szczególnie zaś podnieść musimy na tem miejscu działalność dwóch skromnych ludzi, którzy duże około rozwoju tej instytucyi położyli zasługi, mianowicie: pp. mecenasa Dadleza i Dra Antoniego Malkiewicza. Dziś gdy popłaca przeważnie blaga, frazes i umizganie się do „wpływowych a możnych“ — należy taką pracę uznawać i do niej skwapliwie zachęcać.

Odpowiedzi od Redakcyi.

P. **H. N.** w Kr. Wiersz słaby pod względem treści i formy, dlatego drukowany nie będzie.

P. **Julji D.** w Gr. „Uroczystość sokolska“ spóźniona; obecnie pracy tej umieścić już nie możemy. Nowela „Prawda a miłość“ dotąd nie została jeszcze zakwalifikowaną do druku — odpowiemy wkrótce. Tak, łaskawa pani, wydawnictwa nasze prowadzą ciężki, bardzo ciężki żywot a ta świadomość starczy za odpowiedź. Wszak prawda?

P. **Natalji F.** w Zak. Rzuć pani pióro — szkoda czasu i... papieru.

P. **Janowi Z.** w Kr. Bawi obecnie w Zakopanem.

Pannie **Klarze F.** Nowela słabiutka, do druku niemożliwa. Zapatrywania nasze w wiadomej sprawie wyraziliśmy już kilkakrotnie. Niech pani spróbuje a może się uda. Numer wysłany do Szczawnicy.

P. **L. K.** w Krynicy. Dzięki za słowo uznania. Można, ale krótko i ładnie.

P. **W. F.** w L. Pseudonymu odsłonić nie możemy.

P. S. W. w Kr. Raz powziętej decyzyi nie cofamy; żałujemy, że Sz. Panu motywa nasze nie wystarczają.

P. Janinie K. Sprawie tej poświęcamy kilka uwag w dzisiejszym numerze.

MISCELANEA.

*** Wydawnictwo „Przewodnika bibliograficznego“ zostało zapewnione nadal, dzięki subwencyi Akademii Umiejętności. Z radością notujemy ten fakt, zaznaczając, że pismo to wychodzić będzie pod dotychczasową znakomitą redakcyą dra W. Wisłockiego.

*** PP. Jan i Edward Reszke wyrazili gotowość śpiewania na wystawie wiedeńskiej w „Halce“ Moniuszki (a nie w „Romeu i Julii“). Próby orkiestralne i chórowe odbywać się będą w Krakowie, pod sprężystą batutą p. Jareckiego. Halkę ma śpiewać panna Pawlik, Janusza — Chodakowski. Przedstawienia operowe polskie projektowane są na wrzesień.

*** Kilka dni temu otwarto ponownie oddział sztuki polskiej na wystawie wiedeńskiej i uzupełniono go podobno nowemi okazami. Te uroczyste zamykania i otwierania zakrawają na szopkę. Oddział polski zawiera przedmioty, pochodzące z muzeów, bibliotek, tudzież zbiorów prywatnych artystów i magnatów. Pomiędzy innemi pomieszczono tam: obrazy Matejki, Siemiradzkiego i Ajdukiewicza. Wystawa obejmuje następujące części: 1) pokój Chopina, 2) instrumenty muzyczne, 3) portrety, autografy i inne pamiątki polskich autorów dramatycznych. 4) portrety, autografy i pamiątki polskich kompozytorów, 5) teatry, aktorzy i śpiewacy, teatry: w Warszawie, Krakowie, Lwowie i Poznaniu. 6) Zbiory arcydzieł polskiej dramatycznej literatury i polskiej muzyki, historyczne pomniki, szopka z maryonetkami itd.

*** We Lwowie odegrano z powodzeniem krotochwilę St. Graybnera pt: „Słodka trucizna“.

*** „Protekcya dam“, komedya Z. Przybylskiego nie doznała powodzenia na scenie warszawskiej.

*** Reżyserem dramatu i komedyi teatru warszawskiego mianowany został w ostatnich dniach: Wł. Szymanowski. Dotąd urząd ten spoczywał w rękach pp. Kotarbińskiego i Ładnowskiego. W ostatniej chwili dowiadujemy się, że p. Kotarbiński pozostaje na swem stanowisku.

*** Drukująca się w odcinku „Myśli“ powieść E. Zoli: „Klęska“ (La débacle) opuściła kilka dni temu prasę w Paryżu, w odbitce książkowej. Pierwsze wydanie dzieła wyszło w 66,000 egzemplarzy, z których 56,000 zamówili z góry księgarze.

*** W Stratfordzie odnaleziono autentyczny, własnoręczny testament Shakspeare'a. Towarzystwo szekspirowskie w Wejmarze zdjęło fotografię z cennego dokumentu.

*** Na posiedzeniu wydziału filologicznego Akademii Umiejętności w Krakowie, dnia 13-go z. m., dr. Edward Porębowicz odczytał swą pracę p. t.: „Wpływ poety włoskiego G. Marini'ego na utwory Andrzeja Morsztyna“. Nadto p. Porębowicz mówił o źródłach starego romansu polskiego, który dzieli na ludowy i artystyczny, i o źródłach powieści Hieronima Morsztyna, Wacława Potockiego i Samuela ze Skrzypny Twardowskiego. Na członków komisyi historyi sztuki wybrano dnia 2-go z. m. pp. Edmunda Diehla z Warszawy, Walerego Eliasza, Zygmunta Hendela, bar. Tadeusza Konopkę z Krakowa i dra Antoniego Karbowiaka z Wadowic.

*** Dr. Zygmunt Laskowski, dziekan wydziału lekarskiego w Genewie, ukończył wielki atlas normalny anatomii człowieka, owoc długich lat pracy. Jest to niemal jedyny atlas, odpowiadający wymaganiom nauki i nauczania uniwersyteckiego, na wydziałaah lekarskim i przyrodniczym. Atlas wykonano w zakładzie genewskim p. Stanisława Brauna, Polaka, a stronę rysunkową wykonał p. Zygmunt Balicki.

*** P. Zygmunt Wasilewski opublikował w „N. Reformie“ szereg interesujących artykułów w sprawie oświaty ludowej, które wyszły w oddzielnej odbitce. P. W. jest współautorem ludowego kwestjonarjusza, wydanego w Warszawie, nakładem „Głosu“.

*** Wybitni autorowie dramatyczni, zamieszkali w Krakowie, otrzymali z dyrekcyi teatrów warszawskich pismo w języku francuskim (podpisane: Karandiejeff) z prośbą, aby nadal zasilali tę scenę swemi utworami.

*** Donieśliśmy już, że termin konkursu im. Wołodkowicza upływa z dniem 1 bm. Nadesłano nań sztuki następujące:

1) *Oczy urocze,* komedya w 4 aktach. (Rzecz w majątku kasztelanowej).

2) *Królowa poddanka,* dramat historyczny w 5 aktach. (Rzecz w Krakowie i Wilnie roku 1548—50). (Wierszem białym).

3) *Piaskarz,* sztuka teatralna w 3 aktach z chórami. (Rzecz pod Warszawą, na Bielanach).

4) *Pozory,* komedya w 4 aktach. (Rzecz w Warszawie).

5) *Sama jedna,* sztuka w 5 aktach. (Rzecz w Kijowie i we Lwowie).

6) *Grzeszna miłość,* dramat w 4 aktach. (Rzecz pod Warszawą).

7) *Korona Lecha,* dramat w 5 aktach. (Rzecz w domu Kraka i w jaskini na Wawelu. (Białym wierszem).

8) *Zwalczeni,* dramat w 4 aktach na tle historycznem. (Rzecz w Wenecyi).

9) *Dzieci słowa,* dramat dziejowy w 4 aktach a 8 odsłonach. (Rzecz z końcem wiosny r. 1078 za księcia Kraka. (Wierszem i prozą).

10) *Na manowcach,* dramat w 4 aktach. (Rzecz w domu Bukatych).

11) *Niedawna chwila,* dramat w 5 aktach. (Za czasów Sejmu czteroletniego).

12) *Na płockim zamku,* dramat historyczny w 5 aktach wierszem. (Rzecz koło Płocka roku 1227—1239).

13) *Fredzio,* sztuka w 3 aktach. (Rzecz w Warszawie)

14) *Romans Hrabiny,* dramat w 5 aktach przez X. Y. Z

15) *Popiel i Piast* czyli *Początek Królestwa Polskiego,* dramat w 5 aktach na tle podań dziejowych. (Rzecz około r. 850). (Wierszem białym).

16) *Kiliński,* obraz dramatyczny w 5 aktach.

*** Irving, głośny aktor londyński, otrzymał od uniwersytetu w Dublinie tytuł doktora, inny zaś aktor Rossi, włoch, ma się ubiegać o mandat deputowanego.

*** „Fortuna“, powieść A. Kiellanda, autora drukującej się w dodatku „Myśli“ powieści pt.: „Śnieg“, wyszła w oddzielnej odbitce, nakładem „Głosu“.

*** „Prawda“ warsz. drukuje w odcinku piękny przekład „Znużonych dusz“ A. Garborga. Tłómaczenia dokonała p. Malwina Garfein.

*** Dr. Al. Skórski, autor rozprawy „O Śniadeckim“ habilitował się na docenta filozofii na Wszechnicy lwowskiej.

*** Gounod, twórca „Fausta“ jest umierający.

*** Nakładem Altenberga we Lwowie wyszły „poezye prozą“ Szczęsnej (p. Cybulskiej), pt.: „Przelotne Chmury“.

*** Jan Kasprowicz, wielce utalentowany poeta, napisał nowy poemat społeczny, pt.: „Ezechiel“. Wkrótce mają też opuścić prasę tłomaczenia Shelley'a i Goethego, dokonane przez autora „Chrystusa“; złożą się na nie z Shelleya utwory: Epipsychydion, Alastor, Oda do wiatru zachodniego, Rodzina Cencich itd.; z Goethego: Egmont, Torquato Tasso, Ifigenia i Prometeusz.

*** Juliusz Lemaitre wydał nowy tom pt.: „Les impressions de theatre“.

*** Konkurs na pomnik dla ojca komedyi polskiej (Al. hr. Fredry) rozstrzygnięto we Lwowie. Pierwszą nagrodę otrzymał prof. Marconi (wykona pomnik), drugą Tadeusz Wiśniowiecki, trzecią Mieczysław Zawiejski, zamieszkały we Florencyi.

*** W Warszawie zawiązała się nowa „Spółka wydawniczo-literacka“, na czele której stanął p. Grendyszyński.

*** Na odbytem kilka dni temu walnem zgromadzeniu Tow. przyjaciół nauk w Poznaniu, zaznaczył prezes hr. Cieszkowski, iż w rb. upływa półwiekowy jubileusz tej instytucyi, gdyż w r. 1842 opublikował on pracę pt.: „Skoncentrowanie sił umysłowych w W. Ks. Poznańskiem“, która dała bodźca do założenia Towarzystwa.

*** Malarze nasi odnoszą tryumf na wystawie monachijskiej. W berlińskiem „Atelier“, które mamy przed sobą, oddaje dr. Schmidt pochwały obrazom: Matejki, Brandta, Kowalskiego i W. Kossaka.

Malarzy polskich czekają teraz podboje: w Chicago (w r. 1893) i w Antwerpii (r. 1894).

*** Matejko wykończył swój własny portret, na zamówienie hr. M. w Wilnie. Rzecz ta nie będzie wystawioną w Krakowie na widok publiczny. Spełniają się więc groźby mistrza.

*** Henryk Siemiradzki wyraził gotowość wymalowania kurtyny dla nowego teatru krakowskiego.

† Antoni Biermer, sławny klinik wrocławski, jeden z najznakomitszych lekarzy niemieckich, zakończył życie. Imię jego łączy się ściśle z historyą medycyny drugiej połowy bieżącego stulecia, a wielkie postępy w nauce, jakie Virchow, specyalny nauczyciel Biermera, w Würtzburgu, zapoczątkował, w niemałej części są zasługą nieboszczyka. Biermer urodził się dnia 18. października r. 1827 w Bambergu, studya ukończył w Würtzburgu w 1851 r, tamże habilitował się w 1855 r., następnie był profesorem w Berlinie, Zurichu, i od 1874 r. w Wrocławiu.

† Karol Bierman, pejzażysta niemiecki, zmarł w Berlinie.

† Albert Wolf, rzeźbiarz, zmarł tamże.

† Erazm Fabjański, znany akwarelista, wychowaniec akademii petersburskiej, żołnierz z r. 1863, zmarł w Krakowie.

Treść Numeru:

Od Wydawnictwa. — Fałszywy kult przez R. S. — Głos wielu, wiersz przez K. Tetmajera. — O Słowackim, studyum przez dra H. Monata. — Wolne Myśli (Fejleton). — Na popasie, nowela przez W. Dal. — Tułacze niebios, pogadanka przez M. T. Parvi. — „Pamiętniki sekundaryusza“ przez Kronbauera, tłóm. Wojciech Szukiewicz. — Z chwili. (Kronika społeczna). — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi od Redakcyi. — Miscelanea. Inseraty. — W odcinku: Klęska powieść E. Zoli. — W dodatku „Śnieg“, powieść A. Kiellanda.

Redaktor główny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**